Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 18 sierpnia 1935 r. Nr. 33.



O zachodzie

Cicho zachodzi złota tarcz słońca,
Za ciemnym lasem zwolna się chowa,
Tylko promyków gama potrąca
Jeszcze po drodze senne jeziora.

W samotnym parku od miasta zdala,
Od gwaru i smutków życia ludzkiego —
Zachód kolorów bajkę rozpala
Na gładkiej tafli stawu jasnego.

A wśród refleksów tych złotem lśniących,
Trójka flamingów stoi w bezruchu,
Jak filozofów trójka milczących,
Gdzieś zapatrzonych w świata dal głuchą.

Marja Zemmlerówna.

MUNDUR

OPOWIADANIE

Napisała Z. Z.

Jan Czernik poszedł na wojnę. Było to bezwątpienia rzeczą przykrą i panna Weronika wzdychała ciężko, myśląc, że oto odszedł jej narzeczony i niewiadomo kiedy powróci. Zaraz jednak po westchnieniu musiała się znowu uśmiechnąć, przypominając sobie jak pięknie wyglądał Janek, jak świetnie leżał na nim jego wspaniały mundur.

Imponujący miał bowiem wygląd szeregowiec Jan Czernik w dniu swego wyjazdu. Oto ze zwykłego, przeciętnego śmiertelnika, jakich tysiące można było spotkać na każdej ulicy, przeistoczył się nagle w świetnego żołnierza, wyrósł odrazu ponad tłumy innych ludzi.

Rozważając te sprawy, zamyślała się Weronika niekiedy tak głęboko, że nie dostrzegała wejścia kupujących, którzy musieli się upominać o kilo jabłek, lub tabliczkę czekolady i dopiero surowe spojrzenie bratowej, właścicielki sklepiku, w którym pracowała, doprowadzało pannę Weronkę do równowagi. Ważąc jednak jabłka, lub zawijając czekoladę, myślała wciąż jeszcze o mundurze Janka. Nic na świecie nie mogło według mniemania panny Weronki równać się z mundurem Czernika. Jak pięknie świeciły wyczyszczone starannie guziki, lśnił zaciśnięty mocno pas, brzęczały błyszczące ostrogi. Panna Weronka podziwiała także barwę i dobroć materjału, z jakiego był wykonany, oraz wspaniały krój munduru, przylegającego świetnie do zgrabnej postaci Czernika.

Pięknym był Czernik żołnierzem, a przecież do niedawna jeszcze był niepozornym czeladnikiem krawieckim i z mundurem miał tylko wtedy do czynienia, gdy go jaki wojskowy dał do odprasowania.

Panna Weronka ze łzami w oczach odprowadziła swego żołnierza na dworzec i powróciła samotna do domu.

Była smutna, lecz wspomnienie Czernika we wspaniałym mundurze pocieszało ją nieco. Czasem gdy czytała listę zabitych i rannych smutek zamieniał się w przerażenie. Gdy jednak dochodziła do końca litanji obojętnych nazwisk, czuła się znowu pewną siebie i spokojną.

Nie! Jej Czernik nie mógł zginąć? Był taki dzielny i taki odważny!

Bezskutecznie groził mu huk czyhających na jego życie armat, z bezsilną wściekłością wybuchały nad nim szrapnele, złośliwie sycząc przelatywały pociski! Czernika nic dosięgnąć nie mogło. Był przecież uzbrojony w tkliwą miłość panny Weronki.

Piękny i odważny w swoim wspaniałym mundurze, uśmiechał się drwiąco z nieprzyjacielskich zamierzeń i swą bohaterską postawą decydował zapewne o losach bitwy...

Panna Weronika marzyła. Widziała w swej wyobraźni zastępy wrogów, które Czernik rozganiał jednym wyniosłym ruchem ręki, widziała go jak z radosnem brzęknięciem ostróg zdawał raport przed generałem, który wysłuchawszy go łaskawie, przypinał mu wielki świecący, order do piersi. Widziała go także jak po skończonej walce składał starannie swój świetny mundur, czyścił guziki, gładził naramienniki i przed zaśnięciem myślał o tęskniącej Weronce.

— Jak zaawansuję to dostanę gwiazdkę — powiedział przed wyjazdem Czernik i panna Weronka myślała z zachwytem o tej gwiazdce, która stopniowo wyrastała w jej oczach na coraz to większą gwiazdę i płomiennem swem światłem rzucała nowy odblask chwały na piękny mundur Jana Czernika.

Czernik pisał z frontu krótko i rzadko, lecz panna Weronka nie miała mu tego za złe. Sama musiała się niemało napracować, zanim udało jej się grzecznie i jak należy ułożyć słowa odpowiedzi. Cóż więc można było wymagać od żołnierza, uznojonego swojem wojennym rzemiosłem. Nie dziwiła się też wcale i tylko wypytywała o niego żołnierzy, kupujących w sklepie, dowiadując się czy czasem nie znają jej Czernika.

— Nosi taki piękny mundur — dodawała w formie objaśnienia.

— My wszyscy mamy piękne mundury — roześmiał się raz jakiś sierżant, a panna Weronka spojrzała na niego pogardliwie.

Prawda, że wszystkie mundury były niebrzydkie, który z nich jednak mógł się równać z wspaniałością munduru Czernika!

Nie zwracała również uwagi na przychodzących żołnierzy. Który z nich bowiem mógł się równać z jej odważnym Jankiem, który tam na froncie rozpraszał zastępy wrogów, drwił z czyhających nań niebezpieczeństw i śmierci i okrywał się coraz to nową chwałą.

I nagle, pewnego dnia przyjechał.

Było to niedzielne popołudnie i panna Weronka sama jedna znajdowała się w pokoiku za sklepem. Gdy Czernik wszedł, przestraszyła się w pierwszej chwili. Nie poznała go i myślała, że ktoś obcy.

Dopiero gdy zawołał:

— Weronka! — zerwała się z miejsca i zarzuciła mu ręce na szyję.

Gdy się już przywitali, panna Weronka spojrzała uważnie i powiedziała ze zdziwieniem:

— Ale Janek, jak ty wyglądasz?

— E, tam — mruknął lekceważąco Czernik.

Lecz panna Weronka patrzyła wciąż uważnie.

Narzeczony jej nie przypominał niczem świetnego żołnierza, z którym dumnie paradowała się po ulicach miasta.

— Wiesz Janek, że ci twarz schudła — powiedziała po chwili.

— No, zmęczony jestem okrutnie!

— To pewnie i jeść ci się chce — domyśliła się panna Weronka, a gdy Czernik kiwnięciem głowy to przypuszczenie potwierdził, zakrzątnęła się pośpiesznie, by go ugościć jak należy.

Krzątając się, ukradkiem rzucała spojrzenia na chłopca. Blady był i wynędzniały, jego mundur zaś nie przypominał wcale pięknego munduru, o którym tyle razy marzyła.

Zrobiło jej się trochę markotno. Uśmiechała się wprawdzie do Czernika, podsuwała mu co najsmaczniejsze kąski, siadła blisko, wciąż jednak musiała myśleć, że teraz Czernik w brudnym i postrzępionym mundurze nie wyróżnia się niczem od szeregu innych zwykłych ludzi.

Czernik nie zdawał sobie sprawy z tych rozmyślań Weronki. Zajadał smacznie i opowiadał wesoło o życiu na wojnie.

Objął Weronkę silnem ramieniem. Przytuliła się do jego piersi i wciąż czuła jakąś żałość. Zdawało jej się, że spodziewała się zupełnie kogoś innego i zupełnie kto inny przyjechał.

Nie błyszczały promienne gwiazdy na mundurze Czernika i żaden generał nie przypinał mu świecących orderów do piersi.

Myślała, że groźnym ruchem, wspaniałą postawą decyduje o losie bitwy, o triumfującem zwycięstwie, a tymczasem ze słów Czernika wynikało jasno, że posłusznie tylko wypełniał rozkazy innych.

A najgorszy ze wszystkiego był mundur, połatany, postrzępiony i brudny.

— Trzeba go oczyścić — powiedziała z troską — wskazując na plamę bardziej widoczną niż inne.

— A trzeba — zgodził się chętnie Czernik, a spojrzawszy na plamę, wskazywaną przez pannę Weronkę dodał pogodnie:

— To krew. Trafili mnie jakeśmy szli w piątkę na wywiad. Tamci czterej zostali, a mnie postrzelili tylko.

— Jakto zostali? — zapytała panna Weronka.

Czernik gwizdnął przeciągle.

— Zabici. Myślałem, że ja też nie dojdę z powrotem, tak nas ostrzeliwali, ale jakoś nic wielkiego się nie stało.

Czernik przerwał i podniósł do ust kęs strucla.

— Dobry — pochwalił i zaczął mówić o czem innem.

Panna Weronka milczała. Patrzyła w zamyśleniu na ciemną plamę krwi. I nagle zrozumiała wszystko. Ujrzała zasieki kolczastych drutów, które rwały mundur żołnierza, słyszała świst szrapneli, klekot karabinów maszynowych, huk armat, kryjących w sobie zdradziecką, okrutną śmierć, która czyhała zewsząd, z każdego miejsca na niego. A on wiedząc o tem, odważnie szedł naprzód, posłuszny nieubłaganemu nakazowi, bohaterski w swym spokoju.

Panna Weronka poczuła nagle, że plamka krwi ważniejszą się stała od błyszczącej płomiennej gwiazdy.

Chciała jakoś wyrazić to co czuła, chciała powiedzieć to Czernikowi, lecz nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

Milczała więc, przytuliwszy się do niego silniej. I tylko szepnęła cichutko:

— Ale wiesz, Janek, ładny jest twój mundur.

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

26)

W tych zaś warunkach określenie „natychmiast“ przed wyjściem znaczy: upudrować twarz, nałożyć odrobinę karminu na usta i podczernić leciuchno węglem oczy, nie zapominając o podkreśleniu łuków brwi... dalej: przymierzenie trzech kapeluszy i zdecydowanie się wreszcie na jeden: pasterkę z błękitnemi niezabudkami i niebieskiemi, długiemi wstążkami do zawiązania pod brodą. A udrapowanie narzutki... a włożenie ażurowych pończoszek i lakierowanych pantofelków...

Wszystko to zajęło dobry szmat czasu, lecz ostatecznie pani Millerowa stanęła na progu hotelu strojna, promieniejąca i pachnąca, jak wypadało w tak pięknym, dyszącym wiosną, dniu.

Jak zwykle kobiety, pragnęła teraz odrobić stracony przy lusterku czas i popędziła galopem prawie.

Jak tylko zniknęła na pierwszym zakręcie, Lekok wyskoczył natychmiast ze swej kryjówki i jak burza wpadł do hotelu, w przedsionku którego zastał teraz, wobec nieobecności właścicielki hotelu, starego bawarczyka, Fryca, pełniącego funkcje starszego posługacza.

Zastał go wygodnie rozpartego w fotelu i... nieomal zasypiającego.

— Wstawaj!... krzyknął na niego Lekok — wstawaj natychmiast.

Przyzwyczajony do posłuchu fagas zerwał się momentalnie.

— Oto moja karta — mówił pośpiesznie Lekok — jestem ajentem Prefektury. Jeżeli więc pragniesz uniknąć nieprzyjemności radzę ci bez protestu spełniać wszystkie me żądania.

Przerażenie Bogu ducha winnego poczciwca było ogromne.

— Będę posłuszny — wybełkotał — lecz co mam czynić takiego?

— Nic wielkiego. Za chwilę przyjdzie tu pewien mężczyzna, otóż przyjmiesz go tak, jak ja cię nauczę.

I tutaj Lekok pouczył lękliwego Niemca, jak się zachowywać winien.

— A teraz — dodał na zakończenie wykładu — wskaż mi miejsce, z którego mógłbym widzieć i słyszeć wszystko, sam nie widziany.

Fryc wskazał mu drzwi oszklone, poza któremi znajdował się mały gabinet zupełnie ciemny, bo bez okien.

— Zostawię drzwi uchylone, to pan będzie miał możność słyszenia wszystkiego, zaś patrzeć będzie pan mógł przez szybę.

— Doskonale — rzekł Lekok — a oto pan, o którym ci mówiłem, ten w ciemnem ubraniu. Za chwilę tu będzie, a spraw się dobrze, bo inaczej źle może być z tobą.

Po wymówieniu tych słów Lekok ukrył się w miejscu wskazanem.

W minutę potem na progu poczekalni zjawił się Maj w swej własnej postaci.

— Chciałbym się widzieć z właścicielką hotelu — powiedział.

— A z którą? Z obecną, panią Lebeuf, czy z dawniejszą, panią Miller? Jeżeli z tą ostatnią, to jej niema już w Paryżu, przed tygodniem zlikwidowała wszystkie swoje interesy i wyjechała do swych stron rodzinnych.

Przybysz z niepohamowanym gniewem uderzył stopą w ziemię i rzucił przekleństwo, jakiego uląkłby się grenadjer nawet.

— Jeżeli pan sobie tego życzysz, to mogę poprosić panią Lebeuf, dzisiejszą właścicielkę — kłamał z dobroduszną miną stary wyga.

Maj na propozycję tę nie raczył odpowiedzieć nawet, lecz wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Lekok nie rzucił nawet okiem na oczekującego na pochwałę Fryca lecz wybiegł za byłym więźniem a swą obecną ofiarą.

Dusiło go w gardle, albowiem widział, że Maj nie przejmował się zbytnio odpowiedziami Fryca, które były przecież dużym dla niego ciosem, przyjmował je zupełnie obojętnie, gniew swój rozgłośny udając tylko. Czyżby wiedział, że to wszystko jest kłamstwem? Czyżby go kto uprzedził?

To też Lekok, gdy tylko dopadł do Nalewajki odrazu zadał mu pytanie:

— Czy Maj spotkał kogo w drodze do hotelu, rozmawiał z kim?

— To dopiero! — zawołał poczciwiec naprawdę zdumiony — skądże się pan już zdołał dowiedzieć o tem? Powiedziano panu prawdę. Rozmawiał istotnie i z bardzo ładną, muszę mu oddać tę sprawiedliwość, kobiecinką.

Domysł jego był zatem prawdziwy. Maj, dzięki losowi, widział się z Millerową, aczkolwiek on zrobił wszystko, by temu przeszkodzić.

— Do stu miljonów djabłów! — zawołał — mamy pecha, mój stary. Nasz Maj widział się z Millerową, mimo naszych wysiłków.

Stary Nalewajka zrobił ruch desperacki.

— A, mój Boże! — zawołał — gdybym ja to wiedział!

— Uspokój się mój stary — powiedział Lekok — daremną rzeczą jest próbować walczyć z losem. Na to nic się nie poradzi.

Rzekomy cyrkowiec docierał tymczasem do wyżyn Montmartre; dwaj ajenci musieli przerwać rozmowę i przyśpieszyć kroku, ażeby nie zgubić go w tłumie.

Gdy go mieli dobrze już na oku, Lekok wznowił rozmowę.

— Teraz szczegóły. Gdzież się oni spotkali? — zapytał.

— Na samym rogu ulicy St. Quantin. Maj spostrzegł Millerową pierwszy i natychmiast zbliżył się do niej. O czem mówili? — nie wiem, bo byłem oddalony od nich o jakieś sto kroków. Zauważyć mogłem jedynie, iż kobieta była ogromnie tem spotkaniem zdumiona. Rozmawiali ze sobą dobry kwadrans.

— Czy Millerowa dawała Majowi pieniądze?

— Na pytanie to nie mogę dać wystarczająco ścisłej odpowiedzi. Wymachiwali rękami — to widziałem, czy jednak miała przytem miejsce wymiana gotowizny? — nie wiem. Chwilami miałem wrażenie, że się kłócą ze sobą, z całą pewnością powiedzieć mogę nawet, że Maj groził Millerowej pięściami.

— Naturalnie. Ten tak zwany Maj, to mądry ptaszek! W razie czego, to Millerowa powie teraz, że Maj domagał się od niej zwrotu zadatku, w sumie dziesięciu franków.

— Najgorsze z tego wszystkiego, że ów tajemniczy wspólnik może nam spaść teraz na głowę lada chwila. Bo że Millerowa zawiadomi go dziś jeszcze, jeżeli już nie zawiadomiła, o ucieczce, to więcej niż pewne. Jaki wybieg nas czeka, mający jako cel — uwolnienie z pod naszej opieki Maja?... odgadnąć nie mogę i nie jest to zresztą możliwe. Spodziewać się można tego jedynie, że będzie to rzecz niezwykła, nigdy jeszcze nie praktykowana.

Słowa te przejęły dreszczem Nalewajkę.

— Tam do djabła!... — zawołał — to w takim razie nasz więzień uciec nam jak nic może... Czy w takim razie nie byłoby lepiej zapakować go z powrotem do więzienia?

— Nigdy!... odrzucił Lekok myśl tę bez chwili namysłu — nigdy!... Ja muszę poznać tajemnicę tego człowieka i poznam ją, albo zginę. Co zaś do jego ucieczki, to cóż za niedołęgi by z nas były, gdybyśmy we dwóch jednego nie zdołali upilnować człowieka? Przecież nie uniesie się ku górze, nie rozwieje się jak mgła. Jest przecież człowiekiem nie djabłem, człowiekiem coprawda o wiele już silniejszym aniżeli to miało miejsce przed godziną, bo mającym nietylko pieniądze, ale i gotowy plan działania.

Jakby dla potwierdzenia przypuszczeń Lekoka, Maj w tej samej chwili wszedł do dystrybucji, z której niezadługo wyszedł z grubym cygarem Havanna w ustach.

XXXVI.

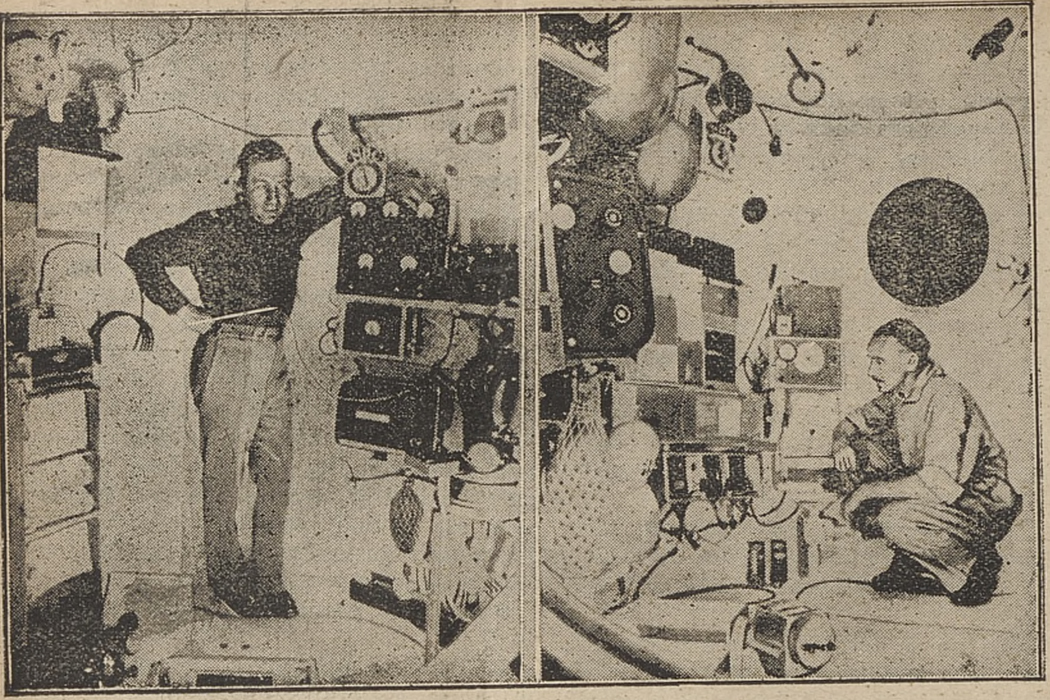
Więzień, tem oryginalny, że na wolności się znajdujący, przebiegał tymczasem bez wytchnienia bulwary i tym sposobem dotarł aż do passażu Vendoeme, który minął nie zatrzymując się i dotarł do Temple. Tam zwolnił kroku i szedł, jakby szukając czego. Wkrótce podeszła do niego jedna z ubogich handlarek starzyzną, których tam pełno i zaczęła mu coś natarczywie proponować. Po krótkiej rozmowie i targach jakby, Maj został wciągnięty do jednego sklepu z tandetą, z liczby najnędzniejszych.

— Nakoniec osiągnął swój cel — zawołał Nalewajka — bo że tutaj sprzeda on swoją odzież, zamieniając ją na gorszą, z dopłatą gotowizny, szyję dać można.

Lekok potrząsnął tylko głową, mocno zaaferowany.

— Nie o pieniądze mu teraz idzie — powiedział — bo te ma już teraz, lecz o zmianę wyglądu. W jakim celu to jednak robi?... nie wiem.

Zamilkł, nie mając nic więcej do powiedzenia. Po chwili w drzwiach sklepu ukazał się Maj odmieniony od stóp do głowy.



Amerykańskie towarzystwo geograficzne urządziło wyprawę w stratosferę, zabierając z sobą wielkie laboratorjum, celem lepszego poznania warunków atmosferycznych.

Miał teraz na sobie spodnie z grubego, ciemno-niebieskiego płótna i rodzaj bluzy z czarnej wełny. Na szyi miał zawiązaną fularową chustkę o jaskrawych barwach, zaś na głowie miękką czapkę z małym daszkiem zsuniętą z czoła na lewe ucho. W stroju tym nie wyglądał ani na jotę lepiej od Lekoka i gdyby tak ich dwóch spotkać w lesie, to z dużym trudem przyszłoby uczynić wybór, od którego z nich szybciej należałoby uciekać...

Maj w tej odzieży zdawał się być w swym żywiole dopiero. Ruchy jego w tej wolnej kurcie wyrobnika stały się żywsze, szersze, swobodniejsze.

Ze swem dawnem ubraniem nie rozstał się jednak bynajmniej. Nabył więc tylko, lecz nie przehandlował swego. Kapitał swój zmniejszył, a nie powiększył. Nie potrzebował tego może już zresztą...

Lekok miał wielką ochotę zajść do sklepu tandeciarki, by rozpytać się o szczegóły tranzakcji, lecz zaniechał tego, wyczuwając, iż byłoby to dużą z jego strony nieroztropnością.

Zawadjacka mina Maja wskazywała bowiem aż nazbyt wyraźnie, iż zamierza on rozpocząć ze śledzącymi go ajentami decydującą bitwę.

I rozpoczął ją istotnie. Zaczął uciekać nie na żarty. Rzucił się przedewszystkiem w uliczkę Granvilliers, następnie zaczął kluczyć w labiryncie wąskich uliczek znajdujących się pomiędzy Temple a Beaubourg.

Pokazało się wtedy, iż był to paryżanin, znający doskonale miasto. Znał wszystkie szynkownie o podwójnych wejściach, wszystkie domy przechodnie i wszystkie pasaże.

Lekok nie dał się jednak zbić z tropu i szedł za nim krok w krok, wysyłając jedynie Nalewajkę na pozycje mniej zagrożone.

Niemniej, parokrotnie zdarzyło się już tak, iż omal się nie wymknął. W pasażu Treppilon zwłaszcza, ciemnem i mrocznem, gdyby był postał minutę jeszcze nieruchomy za wysoką beczką, ajenci poszliby dalej, jego w tym wypadku pechem było, iż nie okazał się dość wytrwałym, że wyszedł z ukrycia przedwcześnie.

Zapadła noc tymczasem, a z nią tropienie czarno odzianego zbiega stawało się coraz trudniejsze. Na ziemię opadła przytem, jak na złość, leciuchna mgła, jaka dość często zdarza się wiosną. Latarnie paliły się czerwono, dając tem samem bardzo mało światła. Na dobitkę złego, o tej porze w ubogiej dzielnicy tej było zawsze na ulicach najruchliwiej, najtłumniej; robotnicy wychodzili z fabryk, zaś kobiety czyniły wieczorne zakupy, młodzież wreszcie wychodziła tłumnie na spacer.

Maj korzystał z tego wszystkiego byle tylko wywieść w pole ścigających go ajentów. Wszystko to jednak na nic się nie zdało, gdyż natrafił na gracza równej siły, który nie dawał się zwyciężyć.

Widząc, iż kluczenie po ciasnych ulicach nie da mu pożądanego wyniku, wyszedł ponownie na szersze przestrzenie, przebył bulwar Sewastopolski, następnie skierował kroki swe ku Sekwanie, a gdy się znalazł na jej pustynnych brzegach zaczął biec...

Uciekał z nadzwyczajną szybkością, przyczem odrazu poznać było można, iż był trenowany w dobrej szkole lekkoatletycznej. Biegł równo, z lekko pochyloną naprzód głową i z łokciami przy ciśniętymi do bioder.

Nic go powstrzymać nie było zdolne, nie odwracając głowy, oddychając ciągle głęboko... biegł. Biegł równo, lekko, cicho i gimnastycznie.

Tym samym równym i niezmęczonym pędem podążał za nim Lekok. Tak minęli Chatelet, mosty i znaleźli się na bulwarze St. Michel.

Niedaleko muzeum Cluny stały dorożki. Maj podszedł do pierwszej z brzegu, powiedział parę słów dorożkarzowi i przeszedł na drugą stronę drogi, gdy woźnica podciął konie i wyciągniętym kłusem ruszył wprost przed siebie.

Maj tymczasem, pochylony nisko, sunął poza szeregiem dorożek, następnie przeszedł chyłkiem na drugą stronę ulicy, gdzie wsiadł istotnie do dorożki, która ruszyła pędem.

Maj sądził iż tym fortelem zdołał się uwolnić wreszcie od swych prześladowcow, lecz się omylił. Za powozem, który go unosił, trzymając się jedynie resorów, biegł człowiek — Lekok.

Nalewajka pragnął go naśladować, lecz bardzo szybko musiał dać za wygraną, wyzuty z sił i tchu.

Maj, wsiadając, dał rozkaz woźnicy, by go zawiózł na Plac Włoski, ze wskazówką, ażeby się zatrzymał na samym środku placu tego, o sto kroków od komisarjatu, w którym go zamknięto ongi wraz z wdową Szupe.

Gdy dorożka stanęła na wskazanem miejscu, rzucił bystrem okiem dookoła i.... nic nie zobaczył takiego, co mogłoby rozbudzać obawy jakieś, Lekok bowiem ze zręcznością rutynowanego akrobaty wisiał w chwili tej po drugiej stronie dorożki, uczepiony u jej drzwiczek i resorów.

Maj, który nie widział prawdopodobnie tej sztuki, zapłacił spokojnie za kurs, a następnie oddalił się w stronę ulicy Mouffetetaro.

Momentalnie Lekok stanął wtedy na nogach i w jednym susie dopadł do drzew okalających plac cały, ażeby się ukryć w ich cieniu, gdy wtem ostry świst gwizdawki doszedł do jego uszu.

— Ojciec Nalewajka!?... — zawołał osłupiały.

— We własnej osobie — odpowiedział poczciwiec — i w dodatku w pełni sił, bo wypocząłem sobie w czasie jazdy powozem, który złapałem bardzo szczęśliwie, gdy tylko dorożka Maja uwożąca zaczęła się oddalać. Tym sposobem...

— Dosyć, dosyć — przerwał mu Lekok opowiadanie — będziemy mieli czas później na zwierzanie. Teraz uważać musimy, bo inaczej zwierzyna nam ucieknie.

Zaś Maj z widoczną niepewnością zaglądał przez okna do szynkowni, w dużej liczbie się znajdujących w tej okolicy. Nakoniec wybrał jedną i wszedł zuchwało do jej wnętrza.

Nie zamknął jeszcze dobrze drzwi za sobą, a już obydwaj policjanci byli przy szybie, ażeby zobaczyć co ich więzień robić tam będzie?

No i ujrzeli, że przeszedł on wzdłuż całą salę i usiadł w samym jej końcu za stołem, przy którym siedział już mężczyzna jakiś, silnej budowy ciała i rumiany na twarzy.

— Wspólnik — zamamrotał ojciec Nalewajka.

— Czyżby miał to być istotnie nieuchwytny wspólnik mordercy?

Opierać twierdzenie podobne na ogólnikowem rysopisie jest rzeczą zawsze bardzo lekkomyślną, lecz w tym wypadku wszystko przemawiało za tem, że był to ów wspólnik istotnie, to też Lekok bez głębszej analizy przyjął tę hipotezę swego towarzysza.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

PAMIĘTAJ!

A jeśli kiedy w życiu napotkasz
Na dobrą duszę, pełną miłości,
To nie omijaj zdala nieufnie,
To ją nie zamroź swą nieufnością.

Pamiętaj zawsze, że w każdej doli,
Cichej, słonecznej, czy też w rozterce
Mieć przyjaciela to skarb, spotkasz go:
Podejdź i sercem zapłać za serce.

„Kalina."

CHCIAŁBYM SKIMŚ PODYSKUTOWAĆ

„Ena." Jeżeli Pan nie otrzymał ode mnie odpowiedzi w „Krainie", to znak, że listu nie odebrałam, bowiem, jak zaznaczyłam tyle razy, na każdy list daję zawsze odpowiedź.

Jednakże chociażby moje przypuszczenia okazały się trafne, ostatecznie nic Pan nie stracił, gdyż przyjmuję dzisiaj Pana do naszej „Rodzinki" i oddaję do druku część listu w celu zadzierzgnięcia przyjaźni z Sympatyczkami „Krainy."

„Zamieszkuję na Pomorzu w maleńkiej mieścinie, gdzie mało się zważa na wszystko, co powinno ludzi łączyć i tu wśród pracy spędzam te jednostajne dni letnie. Lubię często pomarzyć troszeczkę i wzlecieć myślą tam, gdzie spokój i cisza ma swoje królestwo. Z tego powodu tak chętnie chciałbym podyskutować z kimś, który ma nietylko wzgląd na to, co czarne i ciemne, lecz, który umie patrzeć na życie trzeźwo i zdrowo. I może ktoś połączy swe myśli z mojemi i pomoże nim snuć nić pięknej i szlachetnej prawdy, że na świecie istnieje piękno i dobro, lecz trzeba je umieć wyszukać z zamętów życia.

Serdeczne pozdrowienia śle *„Ena."*

WIERSZYK DLA „SŁODKIEJ PSYCHE"

„Słodka Psyche." Widzę, że podbiła Pani swym liścikiem, zamieszczonym w jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści" bardzo dużo serduszek i to nietylko męskich, bo oto jedna z Sympatyczek „Krainy" nadesłała dla Pani śliczny wierszyk, który zamieszczam poniżej:

Dla „Słodkiej Psyche".

Tak, jak i Ty, głęboko kocham przyrodę.
— I ciche stawy i te łąki kwieciste,
Czarne chmury i błękity też nieba czyste —
Wszystko daje mi wielką w smutku osłodę.

Po gwarze miasta — miłe są ciche błonia,
Gdzie tylko ptaszęt wdzięczne słychać piosenki,
I szum liści pieściwy, upojny, miękki...
— Szczęście najłatwiej znaleźć w cichej ustroni.

D. W.

DZIĘKUJĘ!

„Fata Morgana." Za pozdrowienia przesłane nam z Grudziądza, dziękuję serdecznie w imieniu Wujka Janusza i swojem. Odwrotną pocztą przesyłamy Panu życzenia zdobycia jak najwięcej wrażeń w podróżach.

BĘDZIE NAJLEPIEJ

„Ismail." Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie odpowiada Panu na liściki „Paź", najlepiej więc będzie, gdy po przeczytaniu tych słów odezwie się sam „Paź" i wytłumaczy „Ismailowi" tajemnicze milczenie.

Liściku dyskusyjnego nie podaję na łamach „Krainy", gdyż to dałoby początek do zbyt rozwlekłych i licznych polemik. Przesyłam go jednak „Leśnej Rusałce", która niewątpliwie nawiąże z Panem bezpośrednią, interesującą dyskusję.

Łączę serdeczne pozdrowienia i życzę powodzenia w korespondencji.

PATRZ W ŻYCIE POGODNIE

„Wandeczka z B." Trudno, Droga Dziewczynko, z losem trzeba się pogodzić. Wątpię, czy znalazłby się ktoś, ktoryby nie miał żadnych pragnień i dążeń. Każdy z nas myśli o tem, aby jak najjaśniej wypadła jego przyszłość i każdy się stara, aby dola jego była jak najlepsza. Wziąwszy to pod uwagę, nie będziesz się chyba nadal martwiła, Kochana Wandeczko, że w twem życiu nie jest tak, jak być powinno, lecz pogodnie i z ufnością patrzyła w życie, temwięcej, że warunki materjalne nie stoją Ci na przeszkodzie do tego.

Pragnęłabyś korespondować? Pragnęłabyś, by ktoś napisał do Ciebie liścik, ktoś inteligentny o dobrem serduszku.

Życzenie bardzo skromniutkie, chyba to przyznają Sympatycy „Krainy" i uczynią mu zadość?

UCIESZĘ SIĘ

„Słodka Gilda." List po otrzymaniu adresu wysłałam, sądzę, że go Pani odebrała?

Zmartwiła mnie wiadomość o możliwej utracie posady Pani. Miejmy jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze, że tak, jak Pani słusznie zauważyła, Bóg całą sprawą pokieruje pomyślnie.

W każdym razie będę się bardzo cieszyła, gdy mi Pani doniesie, czy agencja zostanie nieodwołalnie zlikwidowana, czy też się nadal utrzyma. Łączę wyrazy serdeczności i moc uścisków.

PRZESYŁAM!

„Mała Konwalijka." Dotychczas oferty żadne jeszcze nie wpłynęły. Cierpliwości jednak, wytrwania, Złote Serduszko. Po szarych dniach oczekiwania, nastąpi spokój.

Pozdrowienia załączone dla „Dzinki" i „Augusta" — przesyłam. Życzę wszystkiego najlepszego!

BĄDŹ DOBREJ MYŚLI!

„Polna Niezabudka." Po przeczytaniu Twego listu, Kochana Dziewczynko, przypomniała mi się rzeczywiście drobna, wątła, polna niezabudka, za lada podmuchem wiatru taka drżąca i niepewna, a w ciszy i słońcu spokojna i zda się szczęśliwa z życia. Tak samo jak i Ty! Cierpisz i słaniasz się pod ciężarem smutku, skarżysz się i żalisz. Rozumiem Cię zupełnie, Delikatny Kwiatuszku i dlatego pragnę Cię podnieść na duchu i natchnąć wiarą w przyszłość.

Przedewszystkiem zapomnij o przeszłości, pogódź się z życiem; nie żądaj od niego zbyt wiele, gdyż w przeciwnym razie będą Cię spotykały na każdym kroku zawody i rozczarowania. Co zaś do ukochanego, sądzę, że jeżeli Cię ceni, napewno nie zapomni o Tobie, a gdyby to uczynił — nie żałuj! W ten sposób wydałby źle świadectwo o sobie, po którem odpowiednio byłaby szmuszona się do owego Pana ustosunkować.

Na zakończenie odpowiedzi podaję wierszyk mej ulubionej autorki Aliny Kwiecińskiej — rozważ go sobie, proszę:

Niezawsze szczęśliw, kto nie zna złej doli,
a nieszczęśliwy ten, kogo los gnębi.
Czasem wśród śmiechu skrycie serce boli,
a mimo troski trwa spokój gołębi.
Ból jest dla duszy tem, czem pług dla roli.
Bezmyślna radość często serce ziębi.
Niezawsze szczęśliw, kto nie zna złej doli,
a nieszczęśliwy ten, kogo los gnębi.

A teraz wypełniam ostatnie polecenie, mianowicie przesyłam w imieniu „Polnej Niezabudki" pozdrowienia dla: p. M. Choszcza, „Jadźki z Kujaw", „Romantyka XX-go wieku" i „Pazia."

ZA PAMIĘĆ I ŻYCZLIWE SŁOWA — DZIĘKUJĘ!

„Mikołowianin." Dziękuję Panu za pamięć i zainteresowanie się naszemi wydawnictwami, które cieszą się coraz większą popularnością i docierają do najdalszych zakątków Polski. Mamy również dużo prenumeratorów z Kresów Wschodnich, o które się Pan informuje.

Za przychylne i życzliwe słowa, skierowane pod adresem naszego wydawnictwa, składam osobne podziękowania.

OTRZYMAŁAM!

„Błękitna Chmurka." Adres otrzymałam. Dziękuję!.

Za pozdrowienia i życzenia powodzenia, bardzo, bardzo Pani dziękuję i całuję Ją serdecznie.

„BRAK JESZCZE MNIE!"

„Pokutnik." Krótki, lecz bardzo miły list Pana oddaję do druku i żywię nadzieję, że częściej się Pan odezwie po przyjęciu do „Krainy."

„Kochana Pani Zosiu! W „Krainie szczerości" brak jeszcze mnie! — Dlatego właśnie, zwracam się do Pani z prośbą o zarejestrowanie mej osoby i pseudonimu. Pseudonim — „Pokutnik". Na serjo! Zbiegiem okoliczności pokutuję za pewne „nieporozumienia". I jest mi tęskno, smętnie...

Chcę trochę jasnych promieni. Chcę zdrowego świeżego humoru. Może ktoś napisze do mnie „promienny" list?... Może i ja czyjś smutek będę mógł utulić, odwzajemnić szczere słowa? Może się pokłócę z kimś? (to zresztą moja manja). Jestem... jestem niestety, łysiejącym blondynem — mam lat 25.

Przesyłam Pani i Jej „Rodzince" pozdrowienia.

„Pokutnik."

WYSTARCZY

„Anita." Pseudonim bardzo mi się podoba. Sprawa listów załatwiona.

Proszę niech Pani się nie przejmuje tem, że abonuje „Moje Powieści" na spółkę z koleżanką. Wystarczy mi najzupełniej, że je Pani czyta, lubi i pisze takie dobre, poczciwe liściki.

Wierszyki, zgodnie z życzeniem, oddałam do oceny Wujkowi Januszowi.

Serdecznie pozdrawiam i czekam na nowy liścik.

NIE MOGĘ DOKŁADNIE POINFORMOWAĆ

„Optymista Sir." „Złoty środek" Pana, owszem jest czasem pożądany, ale jeżeli chodzi o „Krainę" może Pan być zupełnie swobodnym i pisać dowolnie, choćby po kilka stron. Proszę mi wierzyć, że odczytywanie listów nigdy mnie nie nudzi.

Z nadzieją, że odpowiedź powyższa wystarczy Panu, przekazuję załączone w liście pozdrowienia dla: „Dziny" — „Ślicznych Oczek" — „Paproci" — „Śpioszka" — „Anery 20" — „Jemioły" i „Stęsknionej Szarotki."

Z nadzieją, że odpowiedź dotyczącą powieści zamieszczanych w naszym tygodniku: prenumeratorzy „Moich Powieści" rekrutują się przeważnie z mieszkańców wsi i małych miasteczek, co zaś do ilości Czytelniczek i Czytelników, nie mogę Pana dokładnie poinformować, gdyż nie przeprowadzaliśmy dotąd specjalnej statystyki w tym kierunku.

KAŻDY CHĘTNIE PRZECZYTA

„Maleńka Tajemnica." Nie namyślając się dużo, oddaję kilka przemiłych słówek z listu Pani do druku. Napewno każdemu będą się podobały i każdego rozbroją:

„Co ja robię na wsi?...

Otóż przedewszystkiem korzystam z cudnej pogody i kąpię się w jeziorze, a potem dokazuję, zapominając na chwilkę o moich „kłopotach." I wtedy czuję się lekką jak ptak, chciałabym frunąć wysoko, wysoko! Jednakże „fruwam" tylko myślami po obłokach. Lubię wieczorem usiąść w ogrodzie i rozmawiać z gwiazdami, a flirtować z księżycem. To wszystko!

Zasyłam pozdrowienia „Brunetowi J. 03," „Kalinie", „Elżuni z Torunia", „Jadźce z Kujaw", „Hersztowi", „Zimnemu Draniowi" i „Ord-Omowi."

Za SŁOWA UZNANIA — DZIĘKUJĘ!

„Stały Czytelnik." List wysłałam. Dziękuję bardzo w imieniu redakcji „Moich Powieści" za słowa uznania i zachęty do dalszej pracy, oraz łączę serdeczne pozdrowienia.

SOBIE, A INNYM...

Nie myśl o życia ciągłej męczarni —
Spojrzyj z ufnością w przyszłości dale
I horyzonty szersze ogarnij:
W pracy dla bliźnich trwaj wciąż wytrwale.

Innym ułatwiając drogę przez życie,
Sam wnet zapomnisz o tem, co boli —
By na świat cały patrzeć w zachwycie,
Nie widząc cieni w szarej swej doli...

Danuta Wyrybkowska.

ZOBACZYMY SIĘ NAPEWNO

„Smutna Haneczka.“ Nie uwierzysz, jak bardzo wzruszyłam się, czytając Twój kochany liścik. Widzę, że dyktowało go bardzo dobre i bardzo czułe serduszko.

Dziękuję Ci ślicznie, Haniś, za niego i przyrzekam nie zawieść nigdy zaufania, jakie we mnie pokładasz.

Zainteresował mnie opis Twej wycieczki do Gdyni, a przedewszystkiem miłe wrażenia stamtąd wywiezione. W tym roku nie byłam w Gdyni z powodu nawału pracy, zjawię się jednak prawdopodobnie w następnym roku, a wtedy napewno się zobaczymy.

Na zakończenie przesyłam Ci, „Smutna Haneczko“ dużo serdecznych pozdrowień i przesyłam w Twojem imieniu śliczne pa! „Gdyńskiej Trójce.“

BĘDĘ SZCZĘŚLIWA

„Opuszczona Gwiazdeczka.“ Z całego listu Pani przebija wielki smutek i zniechęcenie do życia. Chciałabym Panią natchnąć wiarą w lepszą przyszłość, dlatego proszę, niech się Pani zwróci do mnie w każdej godzinie zwątpienia i bólu. Będę szczęśliwą, mogąc przesłać Pani słowa otuchy i zachęty do walki życiowej.

Dzisiaj, proszę o przeczytanie odpowiedzi danej „Polnej Niezabudce“, która może mieć również zastosowanie do Pani.

Serdecznie pozdrawiam i całuję!

CHĘTNIE PODYSKUTOWAŁABYM

„Cicero.“ Dawno już nie odebrałam tak długiego listu, jak ostatnio od Pana. Dziękuję bardzo!

Tym razem poruszył Pan tematy nadzwyczaj aktualne. Chętnie bym z Panem obszerniej podyskutowała, jednakże w szczupłych ramach „Krainy“, polemik zbyt rozwlekłych prowadzić nie mogę. Niech więc Panu wystarczy, że wywody jego popieram i przyznaję im słuszną rację.

Kiedy Pan znowu się odezwie i napisze mi obszernie o tem, co myśli, spostrzega i obserwuje w życiu?

WYSŁAŁAM

„Leśna Rusałka.“ Sądzę, że zrobiła Pani jak najlepiej, przesyłając pierwsza liścik. Wysłałam go zaraz i myślę, że odpowiedź już Pani zdążyła otrzymać?

Fotografja nadesłana — przepiękna. Rozumiem teraz najzupełniej Panią. Mając tak duży ogród o uroczych zakątkach, zamiast ślęczeć w murach nad pisaniem listu, chętnie się do niego biegnie, by spędzić w słońcu i ciszy letni dzień.

Każdym listem Pani ucieszę się bardzo, proszę więc pisać do mnie, ile razy będzie chęć i ochota. Czy zgadza się Pani?

WIERSZ BYŁ JUŻ DRUKOWANY

„Biały Murzyn.“ Wiersz Pana „Ostatnie bzy“ był już drukowany. Chyba Pan zdążył to zauważyć?

Zaintrygował mnie Pan ową „poufną sprawą.“ Jeżeli będę mogła czem służyć, proszę napisać do mnie śmiało i otwarcie.

Załączone pozdrowienia dla: „Sowy“, „Feli z Trok“ i „Wenus“ — przekazuję i ślicznie dziękuję w imieniu Wujka Janusza i swojem za pozdrowienia i szczere życzenia.

PROSZĘ MI DONIEŚĆ

„Wesoły Kamrad z Wejherowa.“ Nadesłany list w gwarze kaszubskiej, nie umieszczam na łamach „Krainy“, lecz przesyłam Sympatyczkom do których jest skierowany, gdyż w ostatnim numerze był podobny.

Myślę, że Pan nie będzie miał do mnie żalu, że w ten sposób załatwiłam sprawę?

Czy otrzymał Pan żądane numery „Moich Powieści“? Proszę mi o tem donieść w następnym liście, dobrze?

Teczka Wujka Janusza

WSZĘDZIE TWE OCZY...

Ledwo na niebie pierwsze błysną zorze
I snop promieni na ziemię się stoczy,
To jasne, smętne i senne jak morze,
Patrzą już na mnie twe głębokie oczy.

Gdy słońce łuną niebiosa rozpali
I po błękicie wolniuteńko kroczy,
Coś we mnie płacze, coś w sercu się żali
I patrzą na mnie, twe głębokie oczy.

Gdy tarcz słoneczna zenitu dosięgnie
I wkrąg rozzłoci krajobraz uroczy,
Coś dziwną mocą do ciebie mnie ciągnie
I patrzą na mnie twe głębokie oczy.

Kiedy świat cały mrok nocy powlecze
I duszę moją sen błogi przytłoczy,
Idą nademną zbawczą spełniać pieczę,
Twe jasne, smętne, twe głębokie oczy.

I w dni słoneczne i w każdą noc ciemną,
Widzę przed sobą ten mój skarb uroczy
I zawsze, wszędzie, będą stać przedemną
Twe jasne, smętne, twe głębokie oczy.

„Ord-Om.“

DZIĘKUJĘ

„Ord-Om.“ Dziękuję za przesyłkę. Wiersze kolejno zostaną zamieszczone, a jeden z nich na okładce.

Jak się dowiaduję z ostatniego liściku, idzie Pan na „wojnę“, ale chyba talent Pana nie jest wojowniczy i próżnować również nie będzie? Zresztą zobaczymy! Odpowiedź da nam przyszłość!

Żegnam Cię, mój Drogi Przyjacielu, serdecznym uściskiem dłoni.

DOMYSŁY — MYLNE

„Dzinka.“ Serdecznie dziękuję za pamięć i długi list. Tematy w nim poruszone mimowoli skłoniły mnie do głębszych rozważań i rozmyślań. Krytykuje Pani ludzi skarżących się z przyzwyczajenia, nie rozumie ich i potępia. Trochę słuszności w tem jest, ale powinniśmy być zawsze dalecy od skrajnych sądów. Skarżyć się, zwierzać komuś z smutków i żali choć małych i błahych, to przecież takie ludzkie. Usposobienia i charaktery zresztą są różne, jedne otwarte i wylane, drugie znowu zamknięte w sobie, chowające swe bóle i troski w tajemnicy. Nie wiem, czy moje rozumowania trafią Pani do przekonania, w każdym razie tych moich sądów nie cofnę.

Co zaś do naśladownictwa wierszy, ma Pani słuszną rację. Załączony wiersz jest istotnie podobny do drukowanego kiedyś w „Moich Powieściach“, jednak podobieństwo mogło być mimowolne, poprzestanę więc narazie na listownem ostrzeżeniu, jeżeli jednak powtórzy się ono po raz drugi, wymienię nazwisko autora w gazecie i publicznie napiętnuję nieszlachetny postępek.

Domysły Pani w sprawie nazwisk „nieznanych“ są w pierwszym i drugim wypadku mylne.

Na zakończenie przesyłam Pani serdeczne pozdrowienia i przyjacielski uścisk dłoni.

NIKT O TEM NIE WIE...

„Słodkiej Psyche“ — poświęcam.

Nikt o tem nie wie, wśród całego świata,
żeśmy się znali... i kochali — przecież,
i o tem — że nasza miłość skrzydlata,
była tak czysta, tak wonna — jak kwiecie.

Nikt o tem nie wie, że w tę noc majową,
splotła nam serca w jedno, wspólne tętno...
Potem — odeszła — gdzieś... w dal księżycową —
zostało po niej tylko ... krwawe piętno.

Nikt o tem nie wie, że trwała dni kilka,
że w sercach naszych zakwitła uśmiechem
przecudnej pieśni... — dziś, dziś... każdą chwilką—
wciąż jeszcze żyje wśród nas żywem echem.

Ty — jeden tylko — świadku bladolicy,
ty — jeden... i ta noc, czarna jak chusta —
wiecie o naszej, drogiej tajemnicy —
więc zmróżcie oczy ... i zamknijcie usta!

— — — — — — — —

A kiedy teraz po latach rozłąki,
szarpany torturą ustawicznej męki —
wyjdę, tak — jak dawniej — na Jej spotkanie...
kiedy już siły do walki nie stanie —
choć wy mnie utulcie w tej poniewierce.
Mówcie mi o Niej, powróćcie minione
dni szczęścia — w Jej ramionach prześnione...
Niech choć na chwilę dusza się nie smuci,
niechaj wspomnieniem łudzę się — że wróci...
Poznacie mnie przecież — mam rozdarte serce!

„Biały Murzyn.“

WYRAZY UZNANIA

„Anita.“ Nadesłane wierszyki bardzo miłe. Widzę, że posiada Pani talent. Radzę go nie zaniedbywać lecz udoskonalać, pisząc dużo i czytając.

Życzę powodzenia w pracy i przesyłam wyrazy uznania za przekazane ostatnio wiersze.

„W PRZYSTANI“

Samotne serce na brzegu kona
Spienione fale bulgocą.
Ciemna bezbarwna chmur osłona
Okryła przystań nocą.

Nikt nie usłyszy cichego szlochania,
Nikt nie zrozumie samotnego serca.
Ono niezdolne jest już do kochania!
Powoli myślą w zaświaty wraca.

Świt ranny rozjaśnia chmury,
Gdzieś zdala brzmi syrena.
Ozwał się fal ryk ponury.
Samotne serce na brzegu kona....

„Anita.“

WIERSZE DOBRE

„Wirryt.“ Wierszyki — dobre i miłe. Wszystkie pójdą do druku.

Przypadł mi również do gustu list Pana, utrzymany w sympatycznym tonie. Zupełnie nie do uwierzenia, że pisał go „notoryczny leniuch w pisaniu listów.“ Dziękuję serdecznie za niego i myślę, że od czasu do czasu nadeśle Pan coś do „Teczki“? Ucieszę się bardzo!

DO „SŁODKIEJ PSYCHE“

Duży dzieciaku „Słodka Psyche“,
trochę naiwna, ale miła,
pragnienie jedno żywisz ciche,
któreś nam w liście swym zdradziła.

Namiętnie kochasz tęskne rymy,
ich czar upaja Cię jak wino,
albo, jak opjum wonne dymy
w marzeń unosi Cię krainę.

Zazdrościsz innym ich talentu,
że mogą ze słów bajki tworzyć,
cudne i pełne sentymentu...
a Tobie smutno, bo nie możesz.

Dlatego „prosisz grzecznie kogoś“,
by Ci poświęcił mały wierszyk...
Gdy mój cenzurę przebrnie srogą,
przyjmij go w darze — to mój pierwszy.

„Wirryt“, - Ruda Pabj.

UTWORY PISZE SIĘ PO JEDNEJ STRONIE PAPIERU

„Jola.“ Wiersze Pani nietylko słabe, ale napisane niewyraźnie i po dwóch stronach papieru, podczas, gdy utwory przeznaczone do druku pisze się zawsze po jednej stronie arkusza. Za serdeczne słowa dziękuję i przesyłam Pani szczery uścisk dłoni.

Słońce tam nigdy nie zachodzi

Takie to jest Imperjum, że słońce w niem nigdy nie zachodzi, to też nic dziwnego, że Anglicy przygotowują się do znacznego rozszerzenia programów radjowych. Będzie to chyba rozszerzenie maksymalne, jeśli weźmiemy pod uwagę czas programowy: jak doba długa — nadawane będą audycje.

Dzisiaj jeszcze są przerwy w programie ogólnym, a w sumie — godzin transmisji nieco więcej, jak 18. Otóż tę resztę 6 godzin „wolnego" czasu wykorzysta „rozgłośnia Imperjum" w Daventry, pracująca na falach krótkich.

Cały olbrzymi materjał programowy podzielony będzie na 6 grup głównych: ogólno-krajową, regjonalne i zamorskie albo „imperjalne". Te właśnie zamorskie nadawane są na krótkich falach i oznaczone numerami transmisyj: V i VI.

Oczywiście, każdy program radjowy możnaby nazwać „zamorskim", o ile stacja jest dostatecznie silna, aby ją słyszano gdzieś dalej, poza krajem, za jego morską granicą, ale w tym wypadku chodzi o przeznaczenie programu. Broadcasting angielski stosuje już dziś szeroko fale krótkie w nadawaniu programów do dominjów i kolonij.

A zaledwie kilka lat temu, czasem tylko „udawało się" stacjom radjowym w tych odległych posiadłościach angielskich „złapać" coś niecoś z transmisji ze „szarego kraju".

Dzisiaj połączenie krótkofalowe utrzymują z krajem macierzystym wszystkie rozgłośnie zamorskie. W dniu jubileuszu króla Jerzego V, miljony radjosłuchaczy angielskich mogły się o cudowności niemal tego środka przekonać w słuchaniu rozmów między Daventry w Anglji, a rozgłośniami w Ameryce, Południowej Afryce, Indjach, Australji i Nowej Zelandji.

Wywoływano wtedy stacje tych wszystkich odległych dominjów. Stacje odpowiadały, zapowiadając przemówienia premjerów dominjalnych. Zakończył tę „konferencję pięciu części świata" — sam król-jubilat. Jego głosu słuchał także „cały świat". Wedle raportów radjo-telefonicznych — siła i wyrazistość głosów, były wszędzie bez zarzutu.

Żaden środek komunikacji nie dał tej bezpośredniości i tych wartości, co radjo. Anglicy mówią, że radjofonja krótkofalowa, ta nowa dziedzina w stosowaniu powszechniejszem — umocniła więzy jedności i wspólnoty między częściami Imperjum Brytyjskiego, silniej, jak wszystkie okręty wojenne".

Radjofonja w całem Imperjum ma tak wielkie zadania i tyle potrzeb miejscowych do zaspokojenia, że nie może być mowy o centralizacji. Nawet w samem Zjednoczonem Królestwie, t. j. w Anglji europejskiej, te różnice występują wyraźnie. Mamy tu zatem: program londyński, środkowy-angielski, szkocki, walijski, irlandzki północny i południowy. Te indywidualności występują silniej jeszcze w dominjach i kolonjach.

Dopóki nie było miejscowych organizacyj radjowych — Dominja, kolonje i posiadłości mandatowe brały — o ile mogły — program angielski, a radjosłuchacze chwytali stacje obce — najbliższe. Naprzykład w Australji i Nowej Zelandji słuchano stacji japońskich i amerykańskich.

Te stosunki zmieniły się całkowicie już w r. 1932, odkąd Dominje, Indje i Palestyna zorganizowały własne towarzystwa radjofoniczne przy znacznej technicznej pomocy Londynu. Powstała wtedy wielka sieć imperjalna, zasilana codziennie częścią programu ogólnokrajowego z Droitwich, za pośrednictwem tych właśnie krótkofalówek w Daventry.

Stopniowo program imperjalny wydłużał te „godziny zamorskie". A teraz okazało się, że zapotrzebowanie rośnie, bo materjał londyński coraz bogatszy — audycje coraz bardziej interesujące i kosztowniejsze.

Mówiono mi, że gdy tu koncertował w r. 1931 Paderewski, — Broadcasting dostał z Kanady i Stanów Zjednoczonych tysiące listów z prośbą o retransmisję na krótkich falach. Taksamo domagano się retransmisji koncertu Kiepury z rozgłośni „Polskiego Radja" w Krakowie. W Broadcastingu twierdzą, że zdecydowano się wtedy zapóźno. Prasa wytknęła to wtedy Broadcastingowi dość przykro.

To zainteresowanie wzmogło dbałość o ciągły kontakt radjowy z Domijami, bo jak się dowiaduję, już od 1-go lipca b. r. Broadcasting pracuje całą dobę. Niektóre audycje z godzin wcześniejszych, utrwalane są na taśmach stalowych lub walcach woskowych dla późniejszego odtworzenia. Z ogłoszonego sprawozdania Dyrekcji Programowej Broadcastingu wynika, że audycje z Daventry docierają nawet do więzień amerykańskich, w których odbiorniki krótkofalowe instaluje się nawet w celach. „Radjo ma przed sobą jeszcze wszystko do zrobienia" — jak powiedział Marconi — nietylko w dziedzinie telewizji, ale jeszcze w zakresie fal krótkich i ultrakrótkich.

—o—

Bornholm -- wyspa uśmiechniętych ludzi

Morze żółtą wspienioną falą waliło o burty okrętu. Ale kolos morski pozostawał stale niewzruszony. Jakby nic sobie nie robił z gry-waczów wodnych — płynął spokojnie wśród poświstu wichru, do zgóry obranego celu.

Już właśnie z bezmiaru wód wyłaniają się blade kontury Bornholmu. Już widać ją — wyspę pagórków. Małe domki prześwitują czerwienią dachów przez gąszcze zieleni, a u wybrzeża tłumy ludzi, oczekują na nasze przybycie. Okręt zakotwiczony w pewnej odległości od wyspy oczekuje na przybycie motorówek, które nas podwiozą na wyspę. Już płyną, zbliżają się do prostopadłej ściany kolosa morskiego. Różnokolorowe, rozhuśtane na falach, tworzą miłą harmonję z ludźmi, którzy na nich płyną. Czerstwe, opalone twarze i wesoły uśmiech, oto typ Bornholmczyka. Takich ich witałem, takich ich opuszczałem.

Bez formalności, bez sprawdzania wiz wpływamy do portu Allinge, witani okrzykami przez barwny tłum niedzielny mieszkańców miasta. Gdzie spojrzysz, wszędzie uśmiechy, ludzie jakby żyli tu tylko szczęściem i pogodą duszy.

Uprzejmy szofer zaprasza do auta, którem ma nas obwieść po najpiękniejszych zakątkach wyspy.

Asfaltową szosą jedziemy przez rozbudzone ulice miasta.

Małe, schludne domki, jak pod sznur wyciągnięte, w defiladzie pięknych frontonów pozostają w niemej ciszy wczesnego poranka.

Z lewej strony wybrzeże morskie, skaliste, pełne wgłębień i załamań, tworzy wspaniałe naturalne obramowanie szarego tła morza. Mijamy malowniczą wioskę rybacką Tejn i jesteśmy w Helligdommen. Pięknie położony hotel tuż nad brzegiem morza, na wysokości 250 stóp, oddzielony cienistą alejką od wspaniałych skał nadbrzeżnych, stanowi na Bornholmie jeden z najchętniej odwiedzanych punktów turystycznych i wypoczynkowych.

Jedziemy do Gudhjem. Tu spotykamy rodaków, przybyłych na nasze powitanie, którzy z zapałem opowiadają nam o swojem tu bytowaniu. Jest na Bornholmie 20 rodzin polskich, porozrzucanych po całej wyspie. Powodzi im się nieźle, zagospodarowały się tu na dobre. Otrzymują pisma polskie z Nivaa, gdzie znajduje się Związek Polaków w Danji.

Oddalamy się od wybrzeża, przybywamy do Allmindingen. Po drodze zwiedzamy starożytny kościółek z 900 r. o wielkiej wartości zabytkowej. Budowany z kamienia, stanowił dawniej twierdzę przeciw Wendom.

Stolica wyspy — Ronne jakby wymarła. Tylko całe gromady dzieci wyległy na rynek, gdzie zatrzymaliśmy się. Sklepy wszystkie pozamykane, jest bowiem niedziela.

Człowiek chciałby kupić jaką pamiątkę dla znajomych, ale mimo usilnych próśb naszych nikt nie chce wpuścić nas do sklepu. Zasada to zasada, tłumaczy mi jakiś Duńczyk. Choćbyś pan chciał cały sklep zakupić, w niedzielę tego nie załatwisz. Przez szyby wyglądają miłe, uśmiechnięte twarze właścicieli, ale na nasze miłe również propozycje kupna odpowiadają wzruszeniem ramion. Nie znają „systemu" tylnego wejścia i nawet przybycie obcych turystów nie potrafiło naruszyć u nich tradycji odpoczynku świątecznego.

Hasle — oto następny etap naszej trasy wycieczkowej, dalej Hammershus, skąd wracamy do portu Allinge.

Hammershus znany jest przedewszystkiem ze wspaniałych ruin zamku, położonego na wyniosłej górze, skąd roztacza się malowniczy widok na okolicę. Zmrok zapadał powoli znacząc koniec upalnego dnia, gdyśmy opuszczali wspaniałe ruiny, wracając do Allinge.

Za krótkiego pobytu w Danji uderzyła mnie przedewszystkiem niezwykła uprzejmość Duńczyków. Wszędzie uśmiechy, grzeczność i układność niespotykana u nas. Pod względem kulturalnym Duńczycy mogą uchodzić za wzór. Dość wspomnieć, że za całodziennej mojej podróży autem po wyspie nie spotkałem ani jednego (sic!) policjanta. Ludzie sami sobie radzą, nie potrzebują uciekać się do pomocy władz. Piękny przykład zaiste i godny naśladowania.

Pod względem rolniczym Danja stoi najwyżej w Europie. Już nawet dla laika jest rzeczą widoczną, że kulturę rolną doprowadzono tu do niebywałego rozkwitu.

Mimo tak wysokiego poziomu rolnictwa w Danji, temże rolnictwem zajmuje się tylko 31,5 proc. ogółu, co — jeśli uwzględnimy np. Polskę z 72,3 proc. jest rzeczywiście niewiele.

—o—



Do ogrodu

Wychodząc do ogrodu, ubieramy się zawsze prosto i wygodnie. Nie przeszkadza to jednak, aby wyglądać ładnie i powabnie. Ślicznie np. będzie każdej pani w błękitnej o prostym, wysmuklającym fasonie piżamie, wyhaftowanej u dołu i na kołnierzu krzyżykowym szlaczkiem. Również miło będzie wyglądała sukienka obok, uszyta z samodziału, zapinana z przodu na guziki. Uroczo również będzie się przedstawiała „chłopka" (model 3), składająca się z kretonowej sukienki z głębokiem wycięciem, z pod którego wygląda bluzeczka z muślinu w deseń. Całości dopełnia zgrabny fartuszek, haftowany na dolnym brzegu. Strój ten jest o tyle praktyczny i dogodny, że w chłodne dni można pod sukienkę zakładać bluzeczki z długiemi rękawami.

Kąpiele w starożytności w średniowieczu

Od najdawniejszych czasów kąpiele miały wielkie znaczenie nietylko w znaczeniu higjenicznem. Na wschodzie stanowiły część obrządków religijnych; oczyszczenie ciała było tam rzeczą również ważną, jak i oczyszczenie duszy; kąpiel nabierała przez to symbolicznego znaczenia. Wszak dotąd jeszcze u Hindusów, kąpiel w nurtach świętego Gangesu równa się oczyszczeniu grzechów.

W Biblji znajdujemy szczegółowe opisy co do kąpieli w różnych okolicznościach życia; prawodawca starał się zapobiec tym sposobem rozmaitym chorobom powstającym z nieczystości. U Greków były one nadzwyczaj rozpowszechnione, a w Sparcie nowonarodzone dzieci zanurzano w rzece bez względu na porę roku.

W Iljadzie i Odyssei co chwila spotykamy wzmianki o kąpielach; do najpierwszych obowiązków gościnności należało przygotowanie dla gościa ciepłej kąpieli. Przed każdą ofiarą i przed każdym posiłkiem oczyszczano w ten sposób ciało. U Rzymian kąpiele stały się niezbędną potrzebą życia i codzień były stosowane; służyły do tego wspaniałe gmachy, thermy, których szczątki dziś jeszcze podziwiamy, urządzone przepysznie, zaopatrzone we wszystko czego człowiek potrzebować może, spowodu niskiej opłaty, dostępne były dla ogółu. W zdobytych krajach Rzymianie wszędzie zakładali łaźnie, które jednak upadły po wprowadzeniu chrześcijaństwa.

W krajach słowiańskich łaźnie znane były od najdawniejszych czasów. Bolesław Chrobry, chcąc skarcić panów, którzy na to zasługiwali, brał ich z sobą do łaźni, jak wspomina kronika. Wskutek trądu, panującego w Europie w średnich wiekach, publiczne łaźnie upadły, gdyż sami lekarze wzbraniali uczęszczania do nich spowodu wielkiej zaraźliwości tej choroby. Lud stopniowo odzwyczajał się od kąpieli z wielką szkodą dla zdrowia i czystości. Dopiero w wieku XVIII w Anglji zaczęto zakładać publiczne łazienki, a w obecnem stuleciu kąpiele ciepłe i zimne, rzeczne i morskie wszędzie się rozpowszechniły, choć nie w takim jeszcze stopniu, jakby należało.

Co słychać w polityce?

Najżywotniej obchodząca nas sprawa *gdańska* została zlikwidowana zgodnie z naszemi postulatami. Gdańsk musiał się ugiąć. Po cofnięciu przez Senat zarządzeń w sprawie pobierania cła w deprecjonowanych guldenach i otwarciu granicy celnej, rząd polski cofnął zarządzenie ministra skarbu z dnia 18 lipca b. r. o obowiązku clenia przez polskie urzędy celne towarów przeznaczonych dla rynku polskiego, a przechodzących przez obszar Wolnego Miasta. Na sukces odniesiony dzięki stanowczej postawie rządu polskiego i aprobowanej przez cały naród rzuca pewien cień fakt, którego znaczenia *nie wolno nam bagatelizować*, — że ustępstwa Gdańska wobec Polski dokonało się na *wyraźne zlecenie Berlina*.

Pomiędzy kierowniczymi kołami w Gdańsku, a Berlinem toczyły się w tych dniach ożywione rozmowy w toku których Greiser otrzymał instrukcje co do dalszego postępowania wobec Polski. Ta, nie poraz pierwszy zresztą zaznaczająca się całkowita zależność Gdańska od Berlina grozi poważnemi kombinacjami na przyszłość. Niewątpliwie, gdyby stosunki polsko-gdańskie układać się mogły wyłącznie na płaszczyźnie wzajemnych interesów gospodarczych, bez interwencji czynników trzecich, nie mielibyśmy tylu drudności z Wolnym Miastem. Gdańsk odgrywałby w układzie stosunków polskich tę doniosłą rolę, jaką odgrywał kiedyś, przeciwstawiając się Zakonowi Krzyżackiemu. Było to, jak powiada historyk, dumne, przekorne a przecież wierne miasto, najcenniejszy klejnot w koronie Rzeczypospolitej.

Dziś, niestety jest to punkt wypadowy do przyszłego ataku na Polskę. Tym razem Niemcy się cofnęły, uznając chwilę do rozgrywki za mało sposobną. Co zrobią jutro?

Odpowiedź na to zależy w przeważającej mierze od naszej siły w drugim dopiero stopniu od układu stosunków ogólnopolitycznych w Europie. Siła nasza, której ostoją jest armia, jak to pięknie podkreślił w swem przemówieniu na zjeździe legjonistów w Krakowie Generalny Inspektor Sił Zbrojnych Generał Rydz-Śmigły, — sprawił, że nikomu, ktoby licząc na słabość naszą, wyciągnąć chciał rękę po nasze dobro,, „nie oddamy nietylko sukni, ale nawet jednego od niej guzika." (słowa generała Rydza-Śmigłego wypowiedziane w czasie zjazdu Legjonistów w Krakowie).

Rozpoczynający się tydzień, wypełniony będzie o ile chodzi o zagadnienia polskie, rokowaniami z Gdańskiem, podstawę dla których stworzyła kapitulacja senatu gdańskiego wobec uprawnionych żądań Polski. Jeżeli teraz Gdańsk szczerze rozumie nietylko rolę swą jako portu polskiego u ujścia Wisły ale gospodarczy interes w utrzymaniu jak najściślejszej łączności z Polską, swem naturalnem zapleczem, wówczas droga do pełnego porozumienia i współpracy będzie atwarta całkowicie. Dziś jeszcze nie wydaje się, by tak być mogło, bowiem, jak podkreśliliśmy na wstępie, Gdańsk stoi pod wpływem czynników postronnych, ulegając względom polityczno-taktycznym w większej mierze niż naturalnym względom gospodarczym. Praca nad zmianą tego nastawienia umysłów gdańszczan, byłaby wdzięcznym zadaniem dla propagandy polskiej. Czy zechcą ją podjąć?

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 18. VIII. do 24 VIII. 1935 r.

Niedziela, dnia 18 sierpnia 1935 r.

8.30 Audycja poranna 9.02 Koncert orkiestry 9.30 Transmisja Uroczystości IX Marszu „Szlakiem Powstańców Śląskich nad Odrę". 10,10 Mała Orkiestra P. R. 10,30 Transmisja Nabożeństwa. 12.03 „U spartan słowiańskich w Czarnogórzu" Feljeton. 12,20 Poranek muzyczny. 14,00 „Przyjemne piosenki" (płyty). 14,57 Wiadomości meteorologiczno - rolnicze. 15,00 „Porady weterynaryjne". 15,10 Muzyka ludowa. 15,22 „Przegląd rynków rolnych". 15.35 Muzyka. 15,45 Pogadanka rolnicza. 16.00 Transm. fragmentu Uroczystości IX Marszu Szlakiem Powstańców Śląskich. 16,45 Szkic literacki. 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk". — Koncert. 18.00 Transmisja z Kolonji Rady Szkolnej m. Warszawy 18,15 Muzyka operetkowa. 18 30 „Cała Polska śpiewa". 18,45 Odczyt Granica Polsko-Sowiecka. 19,25 Grieg: Ballada op. 24 w wykonaniu L. Godowskiego. 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami. 20.00 Koncert Orkiestry P. R 20 50 Dziennik wieczorny. 21,00 Koncert. 21,30 „Na wesołej lwowskiej fali" (ze Lwowa). 22,00 Wiadomości sportowe. 22.20 „Nasza marynarka gra" 3.00 Wiadomości meteorologiczne. 23,05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 19 sierpnia 1935 r.

6,30 Audycja poranna. 12,05 Dziennik południowy. 12,15 Koncert orkiestry 13.00 Chwilka dla kobiet. 13,05 Koncert z udziałem solistów. 15.15 Przegląd giełdowy. 15,25 Wiadomości o eksporcie. 15,30 Koncert. 6,00 Audycja dla dzieci. 16,15 Muzyka taneczna. 16,50 Fragment z „Pamiętnika kwestarza Chodźki. 17,00 Recital wiolonczelowy. 17.3 Muzyka kameralna 18,00 „Płynny węgiel" — odczyt. 18,30 Skrzynka ogólna 18,40 Chwilka społeczna. 18,45 Utwory skrzypcowe. 19,30 Audycja żołnierska. 19,50 „Co czytać?". 20.00 „Skrzynka rolnicza". 20,10 Arje i duety operowe. 20,45 Dziennik wieczorny. 21,00 Koncert symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe. 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 20 sierpnia 1935 r.

6,30 Audycja poranna. 12,05 Dziennik południowy. 12,15 Muzyka taneczna. 13,00 Chwilka dla kobiet 13,05 Muzyka. 13,30 Z rynku pracy. 15,15 Przegląd giełdowy 15,25 Wiadomości o eksporcie polskim. 15,30 Muzyka lekka. 16,15 Koncert solistów. 16,30 „Pamiętniki kwestarza Chodźki. 17 00 „Od gawota do foxtrota" — Koncert. 18,10 „Minuta poezji". 18,15 „Cała Polska śpiewa". 18,30 „Skrzynka techniczna". 18,45 Fantazje operetkowe 19,30 Recital śpiewaczy. 20,00 Pogadanka rolnicza. 20,10 Koncert. 20,45 Dziennik wieczorny. 21,00 Lekka audycja muzyczno - słowna. 21,30 Koncert orkiestry. 22,30 Wiadomości sportowe. 22,40 Koncert orkiestry.

Środa, dnia 21 sierpnia 1935 r.

6,30 Audycja poranna. 12,05 Dziennik południowy. 12,15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — Koncert. 13,00 Chwilka dla kobiet. 13,05 Muzyka hiszpańska. 15.15 Przegląd giełdowy. 15,30 „Ze słowikiem w zawody koloraturowe". 16,00 Pogadanka dla kobiet. 16,15 Koncert Orkiestry Kameralnej. 16,50 Fragment z „Pamiętników kwestarza" Chodźki. 17,00 Miniatury kwartetowe. 17,20 Koncert. 18,00 Wesoły skocz. 18.15 „Cała Polska śpiewa". 18,30 „Listy od dzieci". 19,10 Transmisja z Salzburga op. w 3 aktach W. A. Mozarta „Uprowadzenie z Seraju". 21,35 Reportaż z cyklu „Jak wieś żywi miasto" wygłosi prof. Stefan Biedrzycki. 21.45 Koncert Chóru Dana. 22,05 Wiadomości sportowe. 22,15 Koncert wieczorny.

Czwartek, dnia 22 sierpnia 1935 r.

6,30 Audycja poranna. 12.05 Dziennik południowy. 12,15 Koncert solistów. 13,00 Chwilka dla kobiet. 13,05 Arje i pieśni hiszpańskie. 15.15 Przegląd giełdowy. 15,25 Wiadomości o eksporcie. 15,30 „Swiat bajek" — koncert. 16,00 Wesoła audycja dla dzieci. 16,15 Pieśni ludowe Dalekiego Wschodu. 16.35 Recital fortepianowy. 16 50 Z „Pamiątek Soplicy" H. Rzewuskiego. 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk". 18.00 „Książka i wiedza". 18.10 Minuta poezji. 18.15 „Cała Polska śpiewa". 18.35 Muzyka. 10.30 Muzyka. 19.50 Pogadanka aktualna. 20.00 „Kącik dla młodzieży wiejskiej". 20.10 Koncert. 20.45 Dziennik wieczorny. 21.00 Recital skrzypcowy. 22.30 Słuchowisko p. t. „Głupstwo nie martwmy się". 22.00 Wiadomości sportowe. 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Piątek, dnia 23 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna. 12.05 Dziennik południowy 12 15 Koncert 13.00 Chwilka dla kobiet. 13 05 Muzyka. 13 30 Z rynku pracy. 15.15 Przegląd giełdowy. 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 G Thill śpiewa arje 16.00 Pogadanka społeczna 16.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 16.35 Pogadanka dla chorych. 6.50 Fragament z „Pamiątek Soplicy" H. Rzewuskiego. 17 00 Recital fortepianowy. 17 30 Wspomnienie o królu tenorów. 17 40 Koncert Orkiestry mandolinistów. 18 00 „Na terenach popowodziowych" — reportaż, wygł. płk. Tadeusz Tomaszewski. 18.15 „Cała Polska śpiewa". 18.20 „Skrzynka ogólna" dr. Marjan Stępowski. 18 40 Chwilka społeczna. 18.45 Walce symfoniczne (płyty). 19.30 Recital śpiewaczy. 19.50 Aktualny monolog. 20.00 „Skrzynka rolnicza". 20.10 „Po jednej piosence". 20.45 Dziennik wieczorny. 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski". 21.00 Koncert symfoniczny w wykonaniu Orkiestry P. R. pod dyr Grzegorza Fitelberga. 22.00 Wiadomości sportowe. 22.10 Muzyka salonowo-taneczna.

Sobota, dnia 24 sierpnia 1935 r.

6.30 Audycja poranna. 12.05 Dziennik południowy. 12.15 Muzyka. 13.00 Chwilka dla kobiet. 13.05 „Na polską nutę" — koncert. 14 39 Nowości z pł t. 15.15 Muzyka 15.25 „Nasz handel morski". 15 30 Słuchowisko dla dzieci. 16 00 „Skrzynka techniczna". 16.15 Koncert solistów. 16.50 Fragment z „Pamiątek Soplicy" H Rzewuskiego 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk — Koncert. 18.00 Poradnik sportowy. 18,10 „Minuta poezji". 18,15 „Cała Polska śpiewa". 18,30 „Przegląd wydawnictw" — omówi prof. Henryk Mościcki. 18,45 Orkiestra Lensena. 19,30 „Nasze pieśni". 19,50 Pogadanka aktualna. 20,00 Przegląd prasy rolniczej. 20,10 Lekka audycja muzyczna. 20,45 Dziennik wieczorny. 20,55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski. 21,00 Audycja dla Polaków z zagranicy. 21,30 Koncert w wyk. Orkiestry P. R. 22,00 Wiadomości sportowe. 22,10 „Kukułka wileńska". 22,30 Mała Orkiestra P. R.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

I. Minicka — Inowrocław. Przez pomyłkę książka Pani została wysłana bardzo późno. Proszę nam donieść, jak się Pani podobała jej treść. Przepraszamy za zwłokę i ślemy serdeczne pozdrowienia.

CHWILA ZASTANOWIENIA

K O N I K Ó W K A

ułożył Witold Mataczyński — Łysinin

Chcesz	ka	mie	zgi	czemś	ła	tę
	nie	być	u	po	nął	w
	u	to	abyś	i	gi	si
	ucz	na	cej	go	świe	w
	wią	te	mie	to	moc	klucz
	Bo	się	kto	u	tłu	cie

Ruchem konika szachowego należy odczytać rozwiązanie.

A N A G R A M

ułoż. „Zeus"

Z jednych i tych samych liter ułóż trzy słowa:

Raz witamin ten odczuwa, kto się marnie *żywi*,
Gdy się tworzy *dwa* na szacie, szpeci nas i krzywi:
trzeci mieszka stale w morzu, czasem zeń wylezie,
smaczny bardzo gotowany, zwłaszcza w majonezie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 23 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 31 „Moich Powieści": *Metamorfoza:* Turek, burek, burak, baran, banan. *Szarada:* „Kraina."

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, Edmund Jankowski — Nowemiasto, Józefa Adamska — Poznań, Ira Kowalewska — Toruń, Jan Mikusiewicz — Łódź, Zenon Woschke — Grabówek, Izabela Witkówna — Pobiedziska, Jerzy Wański — Sieroszewice.

Nagroda w drodze losowania przypadła pp. Edmundowi Jankowskiemu z Nowegomiasta i Irenie Kowalewskiej z Torunia.

RADY PRAKTYCZNE

Szwy w ubrankach chłopięcych powinny być prasowane najpierw z lewej strony, by grubością i szorstkością nie drażniły delikatnej skóry dziecka.

—o—

Małe niedopalone kawałki świec, jakie się zazwyczaj wyrzuca, należy włożyć do bawełnianego woreczka, a przydadzą się do pocierania żelazka do prasowania, by nie przylegało do krochmalonej bielizny.

—o—

Żółtawą plamę na wełnie, pochodzącą z przypalenia żelazkiem można usunąć, jeśli natychmiast przypalone miejsce zalejemy gliceryną. Po kilku godzinach wyprać mydłem i wodą.

—o—

W śród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

49)

Lola dręczyła równocześnie swój mózg, by znaleźć jakie kłamstwo, któreby usprawiedliwiło jej późny powrót, — przywoływała całą przebiegłość, przytomność umysłu i przewrotność, by oszukać i uspokoić swojego męża. Jednakże napróżno, — gdyż wszystkie te złe duchy odmówiły jej w tej chwili pomocy.

Gdyby Kazimierz gniewnym, pełnym nienawiści tonem, żądał od niej usprawiedliwienia się, — to bezwątpienia potrafiłaby go z łatwością okłamać.

Łagodność, dobroć i źle ukryta trwoga, z jaką mówił do niej, rozbroiły ją jednak zupełnie. Ten słodki proszący głos, za którym tak zawsze tęskniła, a który nigdy dotychczas nie obił się o jej uszy, — zawarł jej zupełnie usta.

Lola chciała mu już wszystko wyznać, — już otwarła usta by powiedzieć, że była w objęciach innego, że go oszukała, zhańbiła, — że nie jest godną jego, — gdy nagle niespodziewany wypadek przyszedł jej z pomocą.

W nocy padał deszcz, a Lola, jak wiadomo, błądziła dłuższy czas po Polach Elizejskich, skutkiem czego zabłociła się i przemoczyła sobie buciki. Przypadkowo zauważył to Kazimierz.

Wzdrygnął się, — podskoczył, — bladość pokryła jego twarz, — i zdławionym, ochrypłym głosem, zawołał:

„Nieszczęśliwa, — domyślam się już, skąd wróciłaś! — Tak teraz, — wszystko jest mi jasne, — pojmuję, dlaczego nie chcesz mówić, — byłaś nad rzeką?“

Milczał, — czekając na odpowiedź.

Usta Loli były jednak ciągle nieme, widząc zaś trwogę malującą się na jej twarzy, przemówił drżącym głosem:

„Teraz — domyślam się wszystkiego! Biedna, — chciałaś popełnić samobójstwo, — stojąc nad brzegiem Sekwany, — pragnąc wydobyć się z tego nędznego życia, które prowadziłaś ze mną. Lecz twój anioł stróż stał przy tobie i zaprowadził cię szczęśliwie w moje objęcia. — Przyznaj, Lolu, — że moja obojętność, chłód i niesprawiedliwość, którą trzymałem cię zdala od siebie, spowodowały ten twój rozpaczliwy krok! — Odmawiając ci prawdziwej pieszczoty miłosnej, pchałem cię równocześnie w objęcia śmierci. — Dlatego błądziłaś więc po nocy i stałaś nad brzegiem rzeki, spoglądając na jej cicho toczące się fale. — Lolu, — Lolu moja, nie dużo brakowało, a byłbym się stał twoim mordercą! — Przebaczysz mi, najdroższa?“

Z głuchym łoskotem upadł do jej nóg, — objął ją swoim uściskiem, — spoglądał na jej twarz załzawionem okiem, — podczas gdy z ust jego spłynęła jeszcze raz cicha prośba:

„Przebaczysz mi, Lolu?“

Lola nie mogła sobie zdać sprawy, — czy śni, czy straciła nagle swój rozum, — gdyż los zanadto srogo ją prześladował.

Jako grzesznica i winowajczyni, siedziała przed swoim mężem, któremu była winną zdać sprawę ze swoich czynów, przed tym mężem, którego właśnie w podły sposób oszukała. Ani jednem słowem nie usprawiedliwiła jeszcze swojej nocnej wycieczki, mimo, że Kazimierz przyłapał ją, gdy powróciła po północy, kiedy żadna szanująca się kobieta nie pokazuje się sama na ulicy! Zamiast wyrzutów i wymówek, — wskazał jej drogę ratunku, — podając jej opaskę, którą miała zasłonić jego oczy, by nie zobaczył tej bezbrzeżnej potworności, której się dopuściła. W miejsce podejrzeń i poniżenia, — słodkie słowa, na które sobie nie zasłużyła.

Po raz pierwszy przemawiał do niej takim tonem pełnym prawdziwej miłości, — tonem, za którym napróżno dotychczas tęskniła. W dniu upadku i hańby, — w chwili, w której się nazawsze shańbiła, — obdarzył ją los wzajemną miłością.

W tej chwili opuściło ją odrętwienie i senność, — podniosła się, — teraz czuła w sobie siłę do kłamstwa i oszustwa, — Kazimierz dał jej sam broń w rękę.

„Masz słuszność!“ zawołała ochrypłym głosem, kierując swe piękne, ciemne oczy, pełne niemego wyrzutu, na klęczącego przed nią Kazimierza. „Ty, — tylko ty byłeś przyczyną mojej rozpaczy. Usta moje nie zdradziły by ci nigdy tego, co sam wreszcie zauważyłeś. — Dzisiaj opuściłam ten dom z silnem postanowieniem, by więcej nie powrócić. Chciałam cię opuścić, widząc, że jestem tylko ciężarem dla ciebie. Nie chciałam cię niepokoić mojem spojrzeniem, którego zawsze unikałeś. Nie mogłam już dłużej jak żebraczka błagać cię o odrobinę miłości. Nie będąc w stanie znosić takiego położenia, postanowiłam odejść nazawsze. — Nagle, — sama nie wiem, jak się to stało, — stałam nad rzeką, gotowa rzucić się w jej fale.“

„Przestań, nie mów dalej“, zawołał Kazimierz nieludzkim głosem. „Każde twoje słowo rani mię śmiertelnie.“

Lola nie była jednak na tyle szlachetną, by zaoszczędzić przykrego upokorzenia ukochanemu mężczyźnie; czując, że znajduje się na pewnym gruncie, ciągnęła dalej:

„Chciałam już zakończyć to okropne życie; wiesz bowiem dobrze, że kochałam tylko ciebie jednego ponad wszystko. Bez twojej miłości nie mogłam już żyć dłużej, — i nie posiadając tego skarbu, byłoby tysiąc razy lepiej dla mnie, gdybym urzeczywistniła była moje przedsięwzięcie. Spoczywałabym teraz już na dnie Sekwany, fale szumiałyby nade mną usypiając mię do snu wiecznego, a zaś spałabym spokojnie, — nie wiedząc o niczem. — W tej samej chwili, gdy byłam już gotowa do skoku, uchwyciła mię nagle jakaś ręka, powstrzymując mię nad brzegiem przepaści. — Był to jakiś pan, — młody jeszcze mężczyzna, który znalazł się zupełnie przypadkowo nad tym samotnym zwykle brzegiem Sekwany. Prosił mnie, bym sparła się na jego ramieniu.

„Lecz postąpiłam tylko parę kroków, gdyż równocześnie upadłam zemdlona na ziemię.“

„Zemdlałaś, — moja najdroższa żono, — i nikt nie był koło ciebie, jak tylko ów zbawca?“

„Tak, tylko on“, odparła Lola, — „wziął mię w swoje ramiona, ponieważ nie mogłam iść, — obudziwszy się zaś znalazłam się w strasznym domu, do którego nie bez wstrętu zaniósł mię ów nieznajomy mężczyzna. Lecz w pobliżu nie było innego domu; był to lokal balowy, — pod godłem „Czerwonej kotki“. Gospodarz zezwolił, by mię złożono na chwilę na sofie w jego kantorze.“

Z jaką pewnością dążyła Lola do celu, — jak ślicznie potrafiła zmieszać prawdę z fantazją! W duszy jej powstała nagle myśl, że z pomocą tej bajki uchroni siebie przed odkryciem i przynajmniej w najbliższej przyszłości zdoła zaspokoić chciwość Alfreda Robbera.

„Czerwona kotka?“ zawołał Kazimierz, który podniósłszy się, stał ze skrzyżowanemi rękoma przed Lolą i wsłuchiwał się z trwogą w każde jej słowo, „słyszałem o tym lokalu. — Podobno jest to okrzyczany dom, miejsce wyuzdania, gdzie żaden porządny człowiek nie bywa.“

„Cóż ja winna, że mnie tam zaniesiono?“ odparła Lola, „a może ów szlachetny mój zbawca nie widział żadnego innego przytułku dla mnie. W pierwszej chwili myślałam, że umrę ze wstydu. — Czy masz nam za złe, żeśmy przekroczyli progi tego domu?“

„Ależ nie, — nie czynię wyrzutu, — ani tobie, ani temu mężczyźnie, który cię wyratował! Lecz mów dalej, powiedz mi jego nazwisko! Któż to był, — chcę mu podziękować.“

„Masz słuszność, musimy mu się odwdzięczyć“, rzekła Lola, „tembardziej, że obecnie nadarza nam się najlepsza sposobność do polepszenia jego nędzy. — Ów młody człowiek, któremu zawdzięczam moje życie, — nie wiem, jednak, czy cię to interesuje, dodała z udaną obojętnością, — i który nie opuścił mnie w tej krytycznej chwili, jest zdolnym malarzem, któremu tylko ubóstwo przeszkadza w osiągnięciu sławy. Nazywa się Alfredo Ruben. — O gdybyś wiedział, z jakiem przejęciem opowiadał mi o swoich obrazach, odprowadzając mię do domu, — jak jaskrawo kreślił mi swą nędzę, — był jednak za dumny, by mnie prosić o pomoc. — Pragnę więc, bym nie została jego dłużniczką. Mój ojciec posiada duży majątek, — jutro poproszę go, by mi dał do dyspozycji 300.000 franków, którymi wynagrodzę czyn Alfreda Rubena.“

„Dlaczego chcesz prosić twego ojca o tę sumę?“ odparł z dumą Kazimierz. „Czyż ja, twój mąż, nie jestem ci bliższym?“

„Ty chciałbyś? — Niestety odzwyczaiłam się zwracać do ciebie z prośbami. Ojciec mój spełni już moje żądanie.“

„Tak?“ zawołał gwałtownie Kazimierz, „więc ja nie pozwolę ci brać pieniędzy od hrabiego Zygmunta. Jutro wręczę ci osobiście tę kwotę, ponieważ jesteś moją żoną! Tylko ja winien jestem wdzięczność Rubenowi, nikt inny! Jutro w południe otrzymasz 300.000 franków. Wtedy możesz zaprosić do nas tego młodego malarza i w mojej obec-

ności wręczyć mu pieniądze. Ja zaś podziękuję mu stokrotnie za usługę, jaką tobie wyrządził.“

„Rozkazujesz, — więc słucham!“ odrzekła Lola, opuszczając z kokieterją główkę na piersi. „Teraz jednak pozwól, że się udam na spoczynek, gdyż wrażenia ostatniej nocy zanadto nadwyrężyły moje siły.“

„To znaczy“, zawołał Kazimierz, „mam cię opuścić. — Masz słuszność, Lolu, zasłużyłem zupełnie na takie słowa. Lecz czy serce twoje nie mówi ci, że tu w tym twoim przybytku, w którym dotychczas nigdy nie stanęła moja noga, mam uczynić ci ważne bardzo wyznanie?“

„Nie!“ wyszeptały ze drżeniem wargi pięknej kobiety.

Kazimierz przetarł oczy rękoma, poczem z widoczną stanowczością przemówił proszącym prawie głosem:

„Może zechcesz poświęcić mi jeszcze parę minut, — wysłuchaj mię, — mam ci tyle do powiedzenia.“

„Muszę cię wysłuchać, ponieważ jesteś moim — mężem!“

„O, nie mów do mnie, Lolu, z taką dumą i w takim tonie. Przyszedłem tutaj z mocnem postanowieniem, i z niezłomną wolą, celem usunięcia wszystkich niesnasek, które nas dotychczas odgradzały od siebie. Nie utrudniaj mi więc, — proszę cię i zaklinam, — mego przedsięwzięcia. Wysłuchaj łaskawie mojego wyznania, — bo czyż jest coś piękniejszego jak przebaczać temu, którego się kocha całem sercem.“

Ujął jej rękę, zmuszając ją delikatnie, by usiadła na sofie.

Usiadł na stołku, który postawił obok Loli, poczem głucha cisza zaległa pokój. Tylko spojrzenia ich krzyżowały się wzajemnie.

Popełniwszy wielką niesłuszność względem Loli, z powodu jednej zmarłej, przychodziło teraz Kazimierzowi trudno wypowiedzieć to wszystko, co tkwiło w jego sercu.

Lecz na myśl, że ta zmarła okłamała go i oszukała, — uchodząc za to, czem nie była, — że przybrawszy fałszywe nazwisko, wplątała go w okrutną komedję, — że celem wzbudzenia jego litości opowiedziała mu wzruszającą historję, by go złowić może w swoje sieci, — na tę samą myśl przejmował go wstręt i odraza, — i wydał się sam sobie jako przestępca, ponieważ odtrącił brutalnie miłość Loli, — miłość kobiety niezdolnej do żadnego oszustwa.

A Lola? — Lola pytała się jeszcze ciągle, czy to nie jest tylko sen, który się wpija w jej mózg. Stała przed zagadką, — nie mogąc sobie wyjaśnić, co spowodowało taką nagłą zmianę u Kazimierza.

Był to ten sam mąż, który jeszcze wczoraj nie miał dla niej ani jednego miłosnego spojrzenia?

Był to rzeczywiście on, który dumnie odtrącił jej miłość, — ten sam, który będąc jej mężem, nie przekroczył jeszcze nigdy progu tej sypialni?

I z bystrością właściwą już tej niewiernej żonie, rzekła do siebie:

„Musiało stać się coś nadzwyczajnego, — coś co przeważy szalę mego zwycięstwa.“



W londyńskim ogrodzie zoologicznym żyje niezwykle pracowity szympans, który gorliwie pomaga robotnikom w zajęciach.

„Słuchaj więc, Lolu, co ci powiem“, zawołał bolesnym głosem Kazimierz, podczas gdy głęboka żałość przebijała się w jego oczach; „wiesz dobrze, że tylko dlatego pojąłem cię za małżonkę, ponieważ przyrzekłem mojemu umierającemu ojcu, że cię zaprowadzę do ołtarza. — Wyznałem ci wówczas otwarcie, że serce moje należy do innej — opisałem ci to dziewczę, które swoją urodą i wdziękiem przyciągnęło mię ku sobie, dziewczę, wobec którego uważałem się za dłużnika.

„Prosiłem cię o moją wolność, — błagałem cię, byś mi nie oddała swojej ręki, — lecz nie uczyniłaś tego, — zostałem więc twoim mężem. — Gdybyś, Lolu, wiedziała, co ja wycierpiałem od tego czasu, — jak przykro i ciężko było mi okazywać taki chłód względem ciebie, która jesteś tak piękna, która miałaś wszelkie prawo żądać, by najlepszy z mężczyzn stał się wyłączną twoją własnością. Lecz obraz tej nieszczęśliwej dziewczyny odgradzał nas od siebie, — i zawsze, gdy chciałem się zbliżyć do ciebie, zdawało mi się, że dotyka mię zimna jak lód ręka ducha i że słyszę te ciche słowa:

„Jesteś moim, — nie wolno ci jej kochać!“

Głowa Kazimierza opadła na piersi, głębokie westchnienie wydarło mu się z gardła, oczy zaś zalały się łzami.

„Wiadomem mi to jest wszystko“, odparła szeptem Lola, „i bądź przekonany, że jeżeli ty cierpiałeś, to mnie było tysiąc razy gorzej, — lecz dlaczego mówisz mi to dzisiaj wszystko, — dlaczego rozdzierasz moje rany? — Czy chcesz gwałtem mię dręczyć, — czy pragniesz może, bym uskuteczniła mój zamiar, który dzisiaj tylko jakby cudem nie przyszedł do skutku.“

„Lolu, — zaklinam cię na wszystko, co ci jest święte, nie mów do mnie w takim strasznym tonie. — Ty musisz żyć, — Lolu, — tak, — musisz być szczęśliwą w przyszłości.

„Gdyż teraz, Lolu“, mówił Kazimierz drżącym ze wzruszenia głosem, podnosząc się raptownie, podczas gdy jego nienaturalnie błyszczące oczy spoczęły na niej z wyrazem nieograniczonego smutku, „teraz jestem zupełnie świadomy tego, że goniłem widziadło, — wiem dobrze, że to dziewczę, któremu chciałem pozostać wiernym, chociaż umarło —“

„Więc nie żyje!“ zawołała Lola i z trudem udało się jej ukryć szatańską radość, która napełniła jej piersi na tę wiadomość. „Umarła?“

„Tak, — już jest w grobie! Lecz w mojem sercu byłaby mimo tego wiecznie pozostała, nigdy nie doznaliśmy, Lolu, wspólnego szczęścia, — gdyby nie twój ojciec, który mi dzisiaj zdarł łuskę z oczu. — Zupełnie przypadkowo wymówiłem nazwisko tej dziewczyny, — a może to nie był zwykły przypadek, — lecz boskie zrządzenie, które nie chciało, bym jęczał dłużej w okowach występnej kobiety.

„Twój ojciec usłyszawszy to nazwisko, objaśnił mię natychmiast, że owa dziewczyna była zwykłą komedjantką, ponieważ, — słyszysz, Lolu, — wymieniła mi twoje własne nazwisko, — i opowiadając mi twoje przejścia, wzruszyła moje serce. — Nazwała się Anielcią Dubois, i przy pierwszem naszem spotkaniu, okłamała mię już.

Mówiła mi, że przyjechała z Paryża, — wysłana tutaj przez szlachetnego i poczciwego Dubois, celem oswobodzenia swojej matki, zamkniętej w domie warjatów doktora Morizano. Wszystko to — było jednem kłamstwem, — prawdopodobnie przypadkiem dowiedziała się o tem, — gdyż ty — sama przecież nazywałaś się Anielcia Dubois, wtedy — gdyś jeszcze nie wiedziała, że masz prawo nosić nazwisko hrabiny Sokolskiej.“

się nie zdradziła.

Więc Anielcię Dubois kochał Kazimierz, — rywalkę, której ukradła nazwisko, stanowisko i bogactwo! Ha, — traciła zmysły, — zdawało się jej, że pod jej stopami otwiera się nagle przepaść.

Lecz nie, — nie dla niej była przeznaczona ta przepaść, — Lola stała mocno, spoiwszy silnie kłamstwem i oszustwem własne fundamenta! — Ta druga, niewinna, prawdziwa hrabianka Sokolska, — stoczyła się w tę otchłań na dnie której leży — jako zimny trup!

Lola pojęła wszystko. W następnej chwili opanowała się o tyle, że mogła grać dalej swoją komedję.

Przystąpiwszy do Kazimierza, położyła swoje ręce na jego ramionach — i patrzyła na niego z błogiem wejrzeniem, pełnem litości, współczucia i tęsknoty.

„Biedny Kazimierzu", rzekła następnie cichym, skarżącym się głosem, „poświęciłeś całe twoje szczęście ułudzie, — i tak cierpieliśmy oboje z powodu szaleństwa, które opanowało tobą! — Występna, podła, niegodna nawet twego szacunku, ukradła mi twoją miłość! — O Kazimierzu, gorzko opłakuję ten stracony nazawsze czas, — opłakuję to nieszczęsne nieporozumienie, którego padliśmy ofiarą. Lecz nie jest jeszcze za późno, otrząśnij ze siebie ten srogi raz losu. — To dziewczę, — jak rzekłeś, — umarło i nie bawi więcej na tej ziemi. — Kazimierzu, zapomnij i wydrzej ją ze swego serca! Na jej grobie zbudujemy własne szczęście. Tylko trochę dobrej woli, — bo gdzie miłość roztacza swój czar, tam musi kwitnąć i szczęście. — Co widzę, — ty płaczesz?"

„Tak, płaczę", zawołał Kazimierz szlochając, „i przebacz, — gdyż łzy moje wylewam za tą zepsutą dziewczyną! — Czyż to możebne, żeby takie pełne wyrazu oczy, tak słodko brzmiący głos, taka cudna twarz, — były zarazem tak podstępne, zepsute i fałszywe!"

Piękna Lola odważyła się jednak dać następującą odpowiedź nieszczęśliwemu i zaślepionemu Kazimierzowi:

„Piękna twarz, mój drogi, myli nas często niestety, — a oczy niezawsze są zwierciadłem duszy. — Patrz, najdroższy, — wiem dobrze, że nie mogę się mierzyć z ową dziewczyną co do piękności, — lecz tak nie potrafiłabym oszukiwać, jak ona! Gdybyś mógł zaglądnąć na dno mojej duszy, tobyś zobaczył, że tam nic niema fałszywego, ponieważ nienawidzę i pogardzam kłamstwem. O, gdybyś tak mógł rzucić okiem w moje wnętrze, to ujrzałbyś jeszcze coś innego, — mam ci powiedzieć co, Kazimierzu? Tak, tak, — lecz przysięgam ci, że po raz ostatni karzam się przed tobą, zdradzając ci moją świętą tajemnicę:

„W mojej piersi zobaczyłbyś miłość, — miłość głęboką jak morze, — ognistą jak żar słoneczny, jasną jak blask gwiazd, miłość, która się nie waha, nie rozważa, — nie cofa i nie ociąga, miłość, która tylko — kocha, — kocha!"

„Byłem ślepy, moja Lolu", zawołał Kazimierz, zasłaniając oczy ręką, „zawsze dzasz mnie, najdroższa! — — Dlaczego przedtem nie mówiłaś do mnie tak słodko, — albo dlaczego wcześniej nie zauważyłem tego, że związałem swoje życie z podłą istotą. — Byłem tak bliski szczęścia, — potrzebowałem wyciągnąć tylko rękę, by je ująć i przycisnąć do serca, — a ja zaślepiony warjat przeszedłem obok, nie zwracając nań uwagi. Nie widziałem go i nie znalazłem, szukając tego szczęścia w dali i w szarej mgle, skąd spodziewałem się wydobyć je wreszcie na światło dzienne. — I prawie byłbym się z niem minął. — A może nie zdołasz mi przebaczyć mojej obojętności, — w takim razie straciłem moje szczęście na zawsze."



Joan Harlow, popularna i znana amerykańska gwiazda filmowa, używa rozkoszy lata, spędzając czas na plaży, wśród gorących promieni słońca.

Lola oparła tymczasem swoją główkę na jego piersi i poczęła głośno płakać. Kazimierz, wzruszony temi łzami, ujął ją w ramiona, sądząc, że jest powodem tego, i że te śliczne oczy ronią łzy za straconem szczęściem.

Płacz Loli był prawdziwy i nie udany, — tylko powód jego miał inną przyczynę, aniżeli myślał Kazimierz.

Piękna kobieta płakała tak gwałtownie, jakby chciała w tych strumieniach łez utopić swą duszę.

Wszystkie pocieszające słowa, które jej szeptał Kazimierz łagodnym głosem, — wszystkie zapewnienia, że rozpoczną teraz nowe życie, — wszystkie jego zaklęcia i czułości nie były w stanie ukoić i uspokoić bólu Loli.

„A może mi nie możesz przebaczyć, moja Lolu", rzekł Kazimierz, walcząc już sam ze łzami, „mów, — powiedz jedno tylko słowo, nie zostawiaj mię w tej niepewności."

„Przebaczam ci", odparła Lola, „przebaczam ci z całego serca. — Niechaj wszystko utonie w zapomnieniu! Lecz teraz, — mój drogi, — proszę cię, — pozostaw mię samą.

„Idź, — słyszysz, — bo stracę zmysły, jeżeli nie spełnisz mojej prośby."

Lola była tak wzruszoną, że o mało „Odchodzę", odpowiedział Kazimierz, — „chociaż może byłoby lepiej, gdybym pozostał z tobą. Ale jutro, Lolu, — prawda —"

„Tak, jutro wszystko będzie dobrze" przerwała Lola, drżąc na całem ciele, „jutro, — tak jutro rozpocznie się nasze szczęście, — zaświeci nam słońce, złote, jasne słońce, i swoimi promieniami rozproszy te nocne cienie. — Patrz, — już świta, — pozwól, że spocznę, — jestem tak znużona, — dobranoc, Kazimierzu, — dobranoc, — Bóg z tobą."

„Dobranoc!" wyszeptał Kazimierz, obejmując śliczną kibić Loli, — i poraz pierwszy od dnia ślubu spotkały się ich wargi, lecz w tej samej chwili odtrąciła go od siebie z przeraźliwym krzykiem, wznosząc swe ręce jak obłąkana:

„Nie całuj mnie, — nie, — byle tylko nie dzisiaj! — Nie chcę byś mnie całował, bobyś mógł mnie jeszcze — zatruć!"

„Lolu!" zawołał Kazimierz. W następnej jednak chwili opanował się i mówił spokojnym głosem: „Zawiniłem, — i przyprowadziłem ją prawie do obłędu! — Zostawię ją w spokoju, — widocznie nie może pojąć tej nagłej zmiany, — i nie ufa nowemu szczęściu. — Dobranoc, Lolu, — śpij spokojnie!"

Wybiegł z pokoju, nie patrząc na nią. I byłby z pewnością się śmiertelnie przestraszył, gdyby był zobaczył tą bladą, zmienioną twarz Loli, i jej oczy pełne dzikiego wyrazu, utkwione nieruchomo w jego postaci.

Gdy się drzwi zamknęły za Kazimierzem, zachwiały się nagle nogi pod Lolą. Upadła na posłanie i ukląknąwszy, — przytuliła swą twarz, zwilżoną łzami do poduszki, — podczas gdy rozpaczliwe łkanie wstrząsało jej pięknem, pachnącem młodością ciałem. Cała jej wielka boleść rozpływała się w tym płaczu.

„Więc to ma być szczęściem", szeptała ochrypłym głosem, „wreszcie zjawiło się, — on mię kocha, — nie potrzebuję się więcej obawiać rywalki, — do mnie należy jego serce. — Jednak zapóźno przyszłoś szczęście, — zapóźno znaleźliśmy się, — ponieważ zbezcześciłam tę świętość, do której on tylko miał prawo, oddawszy łotrowi moją cześć i niewinność. — Nigdy, — nigdy nie zaznam już prawdziwego szczęścia!"

Podniosła się, — odsunęła ręką z czoła jedwabne zwoje włosów, które jej opadły na twarz i jak obłąkana poczęła chodzić po pokoju, przecinając swoją postacią magiczne, czerwonawe światło lampy.

„Tak nie zaznam już szczęścia!" mówiła dalej. „Nade mną wsi miecz Damoklesa, miecz zniszczenia, — bo Alfred Robber potrzebuje wyciągnąć tylko rękę, a miecz ów spadając, przetnie moje szczęście i zabije mnie. — Jestem w jego rękach, — jako niewolnica, jako przedmiot pozbawiony woli. Ta myśl nie da mi spokoju, gdy będę spoczywać w objęciach Kazimierza. Oddając się słodkiemu czarowi jego pocałunków, będę słyszeć ciągle głos Alfreda Robbera, mówiący: Chodź, — bądź moją, — słuchaj mię!

„Tak, podwójne będę prowadzić życie, — oszukując bez końca, — a gdy jednego dnia nie zdołam już więcej zaspokoić pieniędzmi żądzy tego dzikiego zwierzęcia Robbera, — wtedy, — wtedy rozszarpie mię na kawałki i —"

„Pani hrabino, — list! Właśnie co oddał go jakiś mężczyzna dla pani hrabiny."

Lola cofnęła się wśtecz ze strachu, — na progu jej sypialni stała Celestyna.

„List, — tak późno? — Niemożliwe, — któż go przyniósł?"

„Nie wiem, pani hrabino!" odparła Celestyna ze zdziwionym wzrokiem, na widok nierozebranej jeszcze Loli. O tym bowiem czasie hrabina zwykła była już dawno leżeć w łóżku. „Proszę mi darować, — zasnęłam w przedpokoju. Nagle widzę, że przede mną stoi jakiś mężczyzna z brodą. Nie wiem w jaki sposób się tutaj dostał; może wpuścił go portjer. Wręczył mi ten list, mówiąc:

„Proszę natychmiast oddać pani hrabinie ten list, — jeżeli śpi, zbudzić."

„Dobrze, Celestyno," rzekła Lola pełna trwogi, — „idź, — połóż się spać."

Pokojówka oddaliła się.

Hrabina drżącą ręką rozerwała kopertę, upuszczając ją na ziemię.

Podeszła ku lampie i przeczytała krótką treść biletu, pisaną męskiem pismem.

Z ust jej wydarł się okrzyk pełen zachwytu i radości, gdyż list ten zawierał następującą wiadomość:

„Hrabino Sokolska! Nie obawiaj się pani! Alfred Robber został właśnie odstawiony do więzienia, nie może więc zaszkodzić pani!

Lister."

LXX.

Lis w pułapce

Alfred Robber jechał dalej tym powozem, który opuściła Lola, — wsparty na miękkiem oparciu, z miną człowieka, który jest najzupełniej zadowolony ze siebie.

Dzień dzisiejszy przyniósł mu dużo. Nietylko zabawił się wyśmienicie, nietylko zemścił się na Loli, lecz co najważniejsze, zapewnił sobie obfite źródło dochodów.

„Lola jest moją!" mówił do siebie, zapalając papierosa, którego świetny zapach wypełnił wkrótce całe wnętrze powozu, „oddała mi się, — a mając żonę pod swoją władzą, opanuję także męża. — Hrabia Kazimierz jest bogaty, — lecz hrabia Zygmunt posiada jeszcze większy majątek. W przyszłości będę czerpał z obu kas, kiedy mi tylko przyjdzie ochota. Jedno tylko skinienie, — i Lola stanie się moją powolną niewolnicą."

Powóz toczył się szybko po ulicach, — Alfred wymienił woźnicy dom na jednem z przedmieść, przed którym miał zatrzymać konie. — Dom ten znajdował się w pobliżu jego mieszkania. Robber wyglądnął przez okno, — lecz w ciemności nie potrafił rozpoznać, w której dzielnicy Paryża, znajduje się obecnie. — Oparł się więc znowu wygodnie na poduszkach, puszczając wodze fantazji.

Patrzył w różową przyszłość, która napełniała go otuchą.

Tutaj w Paryżu nie potrzebował się obawiać niemieckich władz, — uniknął ich szczęśliwie, kryjąc się w odmętach paryskich przestępców. Oprócz tego posiadał szeroko rozgałęzione stosunki, zabezpieczające go od wielu nieprzyjemności.

W ostatnich czasach był bez grosza, dlatego wszedł w bliższy związek z pewną osobistością, z niejakim markizem Satanellim, lecz znajomość ta nie była mu bardzo na rękę. Nienawidził tego człowieka, pomimo, że z nim często pracował. Dotychczas chcąc, nie chcąc, musiał słuchać jego rozkazów, ponieważ Satanelli posiadał wielki wpływ w świecie przestępców.

„Przedewszystkiem muszę się go pozbyć", mówił do siebie Robber. „Zrobię z nim krótki proces. Wypowiem mu natychmiast moją przyjaźń, skoro tylko otrzymam te 300.000 franków od Loli, — co bezwątpienia stanie się jutro wieczór. Mając pieniądze, nie potrzebuję się go obawiać, — będziemy wtedy równi. Do djabła, — dlaczego zatrzymał woźnica nagle konie?"

Powóz stanął. Robber spuścił okno i wychylił głowę, szukając przyczyny tego nagłego przerwania jazdy.

„Proszę darować wielmożny panie", przemówił fiaker, którego twarzy nie było widać, ponieważ kołnierz płaszcza sięgał mu poza uszy, „zgasły mi latarnie, a że ostre przepisy nakazują, by się lampki paliły w nocy, dlatego muszę sobie kupić tu oto w tym domu paczkę zapałek."

Robber, sięgnąwszy do kieszeni, wyjął zapałki i odparł:

„Masz, — prędko się załatw, — bo mi się spieszy."

Robber słyszał wprawdzie, jak woźnica tarł zapałki o pudełko, lecz nie zauważył światła.

„Przepraszam", rzekł woźnica, „ale pańskie zapałki są do niczego, — potrzebuję wiatrówek; — chwilkę cierpliwości, natychmiast wrócę."

Dorożkarz pociągnął za dzwonek umocowany na pobliskiej bramie, która się natychmiast otwarła.

Robber nie zwracał na to uwagi i oparł się znowu o poduszki. Zbyt długo nie mogło to przecież trwać, poczem pojadą dalej. Po paru minutach wrócił rzeczywiście woźnica.

„No", zawołał, „teraz w drogę. Może pan zasunie okno, zaczyna deszcz padać."

Okna zasunęły się.

Woźnica wskoczył na kozioł i zawrócił końmi.

Robber byłby się zdziwił, że powóz wtoczył się w szeroko otwartą bramę, jednak nie zauważył tego w pierwszej chwili.

Powóz był już w sieni, gdy się natychmiast zawarła brama.



Obrazek z walk żołnierzy polskich z bolszewikami.

„Cóż znowu stoimy?" rzekł do siebie Alfred Robber, „bodaj pioruny zatrzasły."

„Hej, dorożkarzu", krzyknął gniewnie spuszczając gwałtownie okno, tak, że szyba rozprysła się na drobne kawałki.

„Natychmiast, — wielmożny panie."

Robber widział, jak się nagle otwarły drzwi, prowadzące na małe schody. Promień światła padł na podwórze, — i na widok ludzi w uniformach, otaczających powóz, — stanęły mu ze strachu włosy na głowie. Rozpoznał mundury paryskiej policji.

„Gdzie jestem, — dokąd zawiozłeś mię, łotrze?"

„W podwórzu dyrekcji policji", brzmiała spokojna odpowiedź.

„Poddaj się, Alfredzie Robberze", mówił inny głos, „jeden tylko podejrzany ruch, — a jesteś trupem."

Drzwi powozu otwarły się nagle. Dwadzieścia rąk wyciągnęło się, celem pochwycenia Robbera, któremu przebiegła szybko jak błyskawica myśl przez głowę, że popadł w pułapkę. Dziwny musiał to być ten dorożkarz, któremu się zawierzył razem z Lolą.

Po chwili jednak przyszedł zupełnie do siebie.

„Precz!" krzyknął na policjantów, otaczających powóz. „Nie dotykajcie mię, — to pomyłka, — lub nieporozumienie. Nie jestem tym, którego nazwisko wymieniliście przed chwilą."

„To się wyjaśni", odparł ten sam głos, który wymówił poprzednio do niego pierwsze straszne słowa. „Wychodź z powozu, — prędzej, — szukamy cię już dawno i nie napróżno przypuszczaliśmy, że znajdujesz się w Paryżu. — W Niemczech interesują się również tobą. — Reszty dowiesz się później."

Robberowi nie pozostawało nic innego, jak opuścić powóz. — Wysiadłszy, został natychmiast z dwóch stron pochwycony za ręce. Mimo oporu, prowadzono go na schody, — i w pół minuty później znalazł się w biurze, gdzie za stołem siedział wysoki brodaty mężczyzna, prawdopodobnie wyższy urzędnik policyjny.

Obok niego stał, — Robber nie chciał wierzyć własnym oczom, — woźnica, który właśnie zdejmował płaszcz.

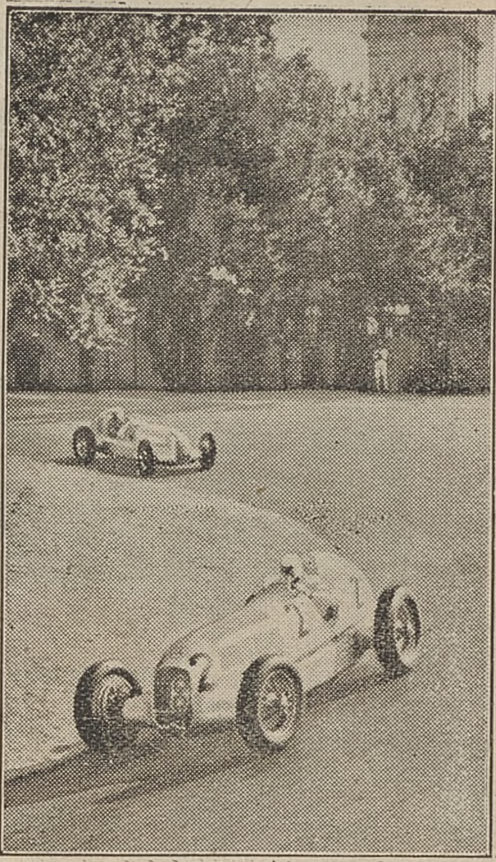
Osłupienie jego zwiększyło się jeszcze, gdy w twarzy dorożkarza rozpoznał Satanellego, — swojego wspólnika.

„Satanelli tutaj", rzekł do siebie, „może da się wszystko dobrze załatwić, — Satanelli wyciągnie mnie z pewnością z tego niebezpieczeństwa, — tak źle jeszcze nie jest, — nie wszystko stracone."

„Alfredzie Robber, przystąp bliżej", zawołał urzędnik policji, „muszę spisać protokuł, — poczem zostaniesz odprowadzony do więziennej celi."

„W jaki sposób śmie pan," zawołał Robber zuchwale, „nazywać mię imieniem, które znane każdemu ze złej sławy. Jestem William Edward Brand, — Anglik, — i jeżeli natychmiast nie zostanę wypuszczony, to jutro angielski konsul postara się już o to, bym odzyskał wolność. Ja zaś będę się starał otrzymać zadośćuczynienie."

„Daj spokój, szkoda twojego trudu" odparł urzędnik, „wiemy aż nadto dobrze, z kim mamy do czynienia. Ten pan", — tu wskazał na Satanellego, —



Ostatnio odbyły się w Barcelonie wielkie wyścigi automobilowe, przy licznym udziale maszyn.

„potwierdzi, że jesteś Alfredem Robberem, — którego poszukują w Niemczech z powodu usiłowanego morderstwa, — a który znany jest również policji londyńskiej jako niebezpieczny oszust. Możemy sobie powinszować, że nam się udało schwytać takiego ptaszka."

„Ten pan", przemówił Robber, wskazując na Satanellego, „potwierdzi moje słowa, że jestem Anglikiem —"

„Zupełnie słusznie", zawołał Satanelli grobowym głosem, „równocześnie jednak stwierdzam, że ten mężczyzna jest Alfredem Robberem, zwanym królem włamywaczy."

Robber zatoczył się. — Czyżby Satanelli dostał nagle obłędu, oskarżając go? Co znaczyła ta cała komedja, — kiedy skończy się wreszcie?

„Słyszałeś pan więc", ciągnął dalej urzędnik, „że pan Lister, słynny detektyw, rozpoznał w tobie Alfreda Robbera. — Nieporozumienie, jego zdaniem, jest zupełnie wykluczone. — Alfredzie Robberze, w imieniu prawa jesteś aresztowany!"

„Protestuję!"

„Odprowadź go do celi", rozkazał urzędnik jednemu z policjantów, którzy stali za Robberem, zwracając baczną uwagę na każdy z jego ruchów.

Nie dużo brakowało, a Robber byłby przeskoczył w tej chwili barjerę, która odgradzała go od Listera i od urzędnika policji.

Oczy jego płonęły wściekłym ogniem, — z ust wydobywały się oderwane słowa.

„Dobrze", zawołał Robber, „jeżeli już mam zostać zaaresztowanym, wyznam tedy całą prawdę. — Jestem Alfredem Robberem, — królem włamywaczy, — lecz ten, pańskiem zdaniem, słynny detektyw Lister, — haha, był moim wspólnikiem. — Nazywa się chevalier Satanelli! — Jeżeli pójdę do więzienia, to ten ajent musi również dzielić mój los!"

„Chevalier Satanelli", zaśmiał się urzędnik, spoglądając porozumiewająco na detektywa, „jako ajent przybiera różne nazwiska, — i zapewne miał powód, że względem ciebie przedstawił się Satanellim. — Takich jak ty ptaszków trzeba najpierw uśpić, celem wydobycia ich wszystkich tajemnic. — Zamknąć go do celi o podwójnych drzwiach. Przed drzwiami postawić na całą noc osobną straż."

„Bądź przeklęty, chevalier Satanelli!" zawołał Robber, „odpłacę ci to kiedyś, łotrze! — Haha, Lister detektywem? — Więc wszystko było tylko kłamstwem i oszustwem! — Pragnę —"

Alfred Robber nie dokończył, — ponieważ policjanci rzucili się na niego i wyprowadzili go ze sobą.

W parę minut później siedział w celi, w której z biedą zdołał zaledwie się obrócić. Żelazne drzwi odcięły go od całego świata.

Ta noc, która rozpoczęła się tak obiecująco, oddając mu Lolę a z nią bogactwa hrabiego Sokolskiego i Zamskiego, — zakończyła się w tak straszny sposób. — Lis siedział w samotrzasku.

LXXI.

Zaszczytne zlecenie

Anielcia po opuszczeniu gościnnego przytułku, który jej dał Dubois swojego czasu, — od dnia, w którym zamknęła powieki szlachetnemu starcowi, który był dla niej drugim ojcem i złożyła go do zimnego grobu, — nie zaznała nigdy jeszcze tyle spokoju i błogości, co teraz.

Mieszkała w domu lekarza Halera, w domu swojego prawdziwego przyjaciela. Matka doktora otaczała ją troskliwą opieką i macierzyńską miłością. Szlachetna matrona pokochała Anielcię, jak własną córkę. Co prawda, to z początku ci dobrzy ludzie sami nie wiedzieli, co mają myśleć o tej nieszczęśliwej dziewczynie, którą sprowadził w ich dom tak dziwny los.

Gorączka nerwowa, której się tak bardzo obawiał Haler, nie nastąpiła. Młoda i silna natura Anielci nie dała się jej rozwinąć, — wobec czego już na drugi dzień mogła opuścić łóżko.

Chociaż lekarz i jego matka nie stawiali żadnych pytań i nie dowiadywali się o jej przeszłość, mimo to Anielcia okazywała pewną trwogę i była ciągle posępna, podejrzliwa i zamknięta w sobie.

Nie trzeba się dziwić, — biedne stworzenie było za często oszukiwane, — i poznało ludzi z ich najgorszej strony, by było w stanie pierwszemu lepszemu zawierzyć swoje uczucia.

Anielcia, podniósłszy się z łóżka, chciała nawet natychmiast opuścić dom doktora Halera. Pozostała tylko na usilne prośby jego matki, która ją błagała, by pozostała tak długo, dopóki nie powrócą jej dawne siły.

„Cóż poczniesz bez sił w tym dużym bezlitośnym Paryżu", rzekła do niej sta-

ruszka, „chcesz może szukać zajęcia? Moje drogie dziecko, do tego potrzeba zdrowia i siły. Wiadomem ci będzie również, jak trudno jest znaleźć pracę w Paryżu. Gdy jednego dnia wyczerpana omdlejesz na ulicy, to naturalnie pośpieszą ci o tyle ludzie z pomocą, że cię zaniosą do jakiegoś szpitala.

„Zapytaj pani tylko mojego syna, co za życie pędzą biedni chorzy w paryskich szpitalach. Na każdym kroku muszą znosić upokorzenia, nie mówiąc już o tem, że wielu chorych popada w tych źle urządzonych zakładach w jeszcze cięższą niemoc. — Często nabawiają się nawet zaraźliwych chorób, które wtrącają ich do grobu. — Moje dziecię, pozostań u nas, — nikt cię przecież nie wypędza, — jeżeli się zaś obawiasz, że cię będziemy może wypytywać, to daję ci na to moje słowo, że nigdy nie będziemy próbowali rozprószyć tej mgły, którą osłonięto twoje życie.“

„Dlaczego chcesz mnie pani zatrzymać u siebie“, zawołała na przekór Anielcia, „dlaczego?!“

„Nie chcemy byś została jeszcze bardziej nieszczęśliwą, aniżeli jesteś, — gdyż jako chrześcianie wyznajemy zasadę miłości bliźniego.“

„Miłość bliźniego!“ odparła Anielcia z gorzkim uśmiechem, „bańki mydlane. Nie wierzę, by byli jeszcze tacy ludzie, którzy ujmują się za nieszczęśliwymi tylko z dobrego serca lub miłości dla Boga.“

„Jesteś drogie dziecię godna pożałowania i o wiele więcej nieszczęśliwa, aniżeli myślałam“, mówiła staruszka, opuszczając na piersi swoją siwą głowę. „Ja i mój syn mniemaliśmy, że tylko twoje ciało jest chore, teraz widzę jednak, że dusza twoja potrzebuje również szybkiej pomocy i pielęgnacji!“

Te serdeczne, dobre słowa, pełne czułego tonu i troskliwości, nie pozostały bez skutku.

Anielcia nie była upartą z natury, — nie miała wrodzonego niedowierzania i obawy przed ludźmi, — jedynie tylko przykre doświadczenia, zebrane w życiu, zasępiły jej umysł. Słowa sędziwej kobiety działały jednak na skorupę otaczającą serce Anielci, jak promienie słoneczne na śnieżną powłokę. Cały jej opór stopił się we łzach i szlochając, ucałowała rękę pani Haler.

„Pani jesteś tak dobra“, mówiła, „jej zaś syn okazał mi tyle względów, — zadał sobie tyle trudu ze mną. — O, proszę mi przebaczyć, żem wątpiła we waszą szlachetność, — lecz gdybyś pani wiedziała!“

„Cicho, moje dziecko“, zawołała staruszka, kładąc palec na usta, — „nie chcę nic wiedzieć. Musisz nas pani najpierw dokładnie poznać, nim obdarzysz nas swojem zaufaniem.

„Więc, zostaniesz, dziecko? Lecz moja prośba nie jest pozbawiona pewnej korzyści. — Obowiązek lekarski trzyma mego syna często poza domem, — jestem więc zwykle sama jedna. Dlatego byłabym szczęśliwą, gdybym mogła mieć młodą przyjaciółkę i towarzyszkę, któraby zechciała mi dopomóc nieco w domowem gospodarstwie. Zgodziłabyś się na to pani?“

„O chętnie“, odparła Anielcia. „Będzie to dla mnie wielkiem szczęściem i prawdziwą przyjemnością, jeżeli pani mi zezwoli pracować za siebie. Praca to najlepsza osłoda samotności. Dając mi przytułek, uczynisz pani tyle dla mnie, że wdzięcznością i wiernością mojego całego życia nie zdołam ani w połowie odpłacić się za współczucie pani.“

Pani Haler otworzyła swoje ramiona i objęła płaczącą Anielcię, przyciskając ją do swojej piersi. Obie kobiety tuliły się przez dłuższy czas do siebie.

W tej chwili otworzyły się drzwi, w których pokazała się postać doktora Halera. Na widok Anielci w objęciach swojej matki, ogarnęło go zdziwienie i radość.

„Chodź tu, mój synu“, zawołała pani Haler, „ciesz się z nami, — lody złamane a słońce rozsiewa swe blaski. Anielcia zostanie u nas przekonawszy się, że nie jesteśmy złymi ludźmi.“

„Prawda“, odparła Anielcia, „jesteście szlachetni. Dziękuję Bogu, że mię zaprowadził do waszego domu.“

Od tego dnia uważano Anielcię za członka rodziny, — a węzły sympatji splatały coraz silniej i mocniej te trzy osoby, mieszkające po tym spokojnym dachem.

Zwłaszcza staruszka ceniła Anielcię z każdym dniem więcej, — podziwiała cichą pilność i zręczność pięknej dziewczyny, która nie uważała się za gościa, lecz przeciwnie wszystkiemi siłami starała się odwdzięczyć za dobrodziejstwo, jakie jej wyświadczyli lekarz Haler i jego matka, dając jej bezpieczny i spokojny przytułek.

Pani Haler cierpiała często na astmatyczne napady, które zjawiały się zwykle z nastaniem ostrzejszej pory roku. Choroba ta niepokoiła bardzo jej syna, który jako doktor potrafił wprawdzie ją łagodzić, jednak z drugiej strony świadomym był tego, że jeden z tych napadów wydrze mu na zawsze ukochaną matkę. Wcześniej czy później musiała rozwinąć się choroba, która dotychczas pokazywała się tylko od czasu do czasu. A wtedy wszelka wiedza i opieka nie potrafi odwrócić katastrofy.

Dlatego doktor pragnął już od dawna, by przy jego matce znajdowała się stale jakaś dziewczyna, któraby ją wyręczała w gospodarstwie, była dla niej troskliwą towarzyszką i spędzała ciemne nieraz chmury z jej czoła.

Dotychczas było to jednak niemożliwe dla doktora Halera, — ponieważ nie pozwalały mu na to stosunki. Henryk nie był zamożny. Z wielkim trudem zdołał zapewnić sobie i swojej matce skromny, lecz wystarczający dochód. Nie było to łatwą rzeczą dla młodego lekarza jako Polaka znaleźć w Paryżu odpowiednią praktykę. Na każdym kroku spotykał się z niedowierzaniem i obawą pacjentów, — nie mówiąc już o trudnościach, które mu stawiali jego koledzy mieszkający w tejsamej dzielnicy!

Bojkotowali go, — szkodzili jego sławie, — robili donosy do sądu, przedstawiając go z pomocą nieuczciwych ludzi jako szarlatana, a to wszystko w tym celu, by władza odebrała mu prawo odbywania lekarskiej praktyki.

Doktor Haler zdusił jednak te wszystkie intrygi i knowania. Sędziowie francuscy, mimo gorącej miłości ojczyzny, tej cnoty wspólnej wszystkim francuskim patrjotom, nie byli przecież w stanie uczynić krzywdy doktorowi Halerowi, który w rzeczywistości był szlachetnym człowiekiem i znakomitym lekarzem.

Z biegiem czasu zmieniło się wszystko. W domu doktora Halera przybywało coraz więcej pacjentów, którzy polecali go znowu swoim znajomym. Obecnie miał już taką praktykę, że mógł z łatwością utrzymać siebie i swoją matkę.

Znikła także troska o towarzyszkę i podporę dla dobrej matki, ponieważ Anielcia wykonywała wszystkie tego rodzaju obowiązki, z widocznym zapałem. Gdyby pani Haler miała córkę, z pewnością nie byłaby gorliwiej i wierniej pielęgnowaną.

Anielcia zamieszkała w małej, schludnie urządzonej izdebce na poddaszu. Wieczorem, — gdy staruszka udała się na spoczynek, a doktór Haler czytał swoje ulubione książki, lub szedł z wizytą do chorego, — uważała się Anielcia dopiero wolną, — wtedy należała do siebie samej. — Wieczorem była sama, — tylko ściany pokoju spoglądały na jej łzy, — i tylko stare obrazy były świadkami bólu malującego się na ślicznem obliczu dziewczyny.

Anielcia, gdy jej nikt nie widział, — nie mogła nigdy powstrzymać się od łez. — W takiej chwili opłakiwała zawsze swoją przeszłość. — Często pytała sama siebie:

„Poco żyję właściwie, — naco wszystkie te trudy, — dlaczego tyle cierpień te trudy, — dlaczego tyle cierpień i bólów? Przedemną leży przyszłość ciemna, nieprzeniknioną, — a teraźniejszość!“

Tak, Anielcia znalazła wprawdzie przytułek, gdzie była zupełnie bezpieczną, gdzie nie odczuwała walki toczącej się między ludźmi, walki, która kończyła się zwykle w srogi i przerażający sposób Lecz z drugiej strony wszystka dobroć, którą jej okazywał doktór Haler, — i cała miłość staruszki, — nie mogły ukoić jej cierpienia, — ani zastąpić tego, co jej świat odebrał, — zabrawszy miłość.

Tak, Anielcia straciła ten skarb nazawsze. Raz tylko kochała i została zdradzona, raz jeden zaufała, i została oszukana haniebnie. Całą duszę oddała jednemu, który ją podszedł nikczemnie, oddając później innej swoje serce i rękę! Natura Anielci nie mogła tego znieść ani przecierpieć, — gdyż całe jej szczęście i wszystkie nadzieje pierzchły jak senne marzenie.

Anielcia nie mogła wierzyć Kazimierzowi, — widziała przecież na własne oczy, jak wychodził z katedry Notredame z Lolą, swoją piękną i uroczą nowopoślubioną małżonką.

Nie gniewała się na niego, — nigdy nie dopuszczała do siebie gorzkiego uczucia, przypominającego zazdrość lub nienawiść, — lecz mimo to cierpiała straszanie.

W swojem sercu nosiła wiecznie krwawiącą się ranę, którą zagoji kiedyś tylko śmierć!

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

H-U-M-O-R

Poczerniała.



— Cóż się to stało moja pani kochana, że panine siwe włosy stały się czarne.

— O tak pani, doznałam wielkiego przestrachu i przez jedną noc poczerniałam.

Bohater

Kapral Bonawenty Ćwiek opowiada żołnierzom:

— Rozumiecie, bęcwały, jak ja byłem na wojnie, to wszystko przede mną drygało!... Pod Płaszkowicami sam jeden rzuciłem się na nieprzyjaciela, stratowałem całą artylerję, kawalerję zmusiłem do ucieczki, a piechotę wziąłem do niewoli... Tak się wojowało, rozumiecie, bęcwały?

— Ja nie rozumiem... — odzywa się jeden z żołnierzy.

— Czego nie rozumiesz?...

— Poco w takim razie byli potrzebni wszyscy inni żołnierze na wojnie?

„Znawczyni sztuki"

Państwo Przepiórka wybrali się do Włoch. We Florencji, ulegając namowom współpodróżnych, zwiedzają wnętrze starego zamczyska.

Przewodnik oprowadza ich po komnatach, objaśniając:

— Ta sala jadalna znajduje się w takim samym stanie, jak przed 400 laty...

— Tak, tak... — wzdycha pani Przepiórka. — Nasz gospodarz też nie chce nam zrobić remontu...

Po wakacjach

Spotkały się dwie kumoszki w kawiarni:

— A, witam kochaną panią!...

— Witam!...

— Już pani wróciła z urlopu?...

— A już...

— Gdzie pani była?...

— W Marienbadzie... Przeprowadzałam kurację odtłuszczającą...

— I dużo pani tłuszczu ze siebie zrzuciła?...

— Cztery kilo, proszę pani...

— To świetnie!... I co pani zrobiła z tym szmalcem?

Służbista

Na peron dworca w ostatniej chwili przed odejściem pociągu do Krakowa wpada zziajana, zaaferowana pani i zwraca się do stojącego obok kolejarza:

— Przepraszam pana bardzo, czy ten pociąg odchodzi do Krakowa?

— Tak — odpowiada kolejarz. — Tylko niech pani już wsiada, bo za pół minuty pociąg rusza.

— A czy pan wie napewno, że ten pociąg idzie do Krakowa...

— Napewno...

— A może on idzie do Łodzi?

Zniecierpliwiony kolejarz odpowiada spokojnie:

— Proszę pani... Zawiadowca stacji, kierownik pociągu, wszyscy konduktorzy, maszynista, kontroler i nawet służba w wagonie restauracyjnym, słowem — wszyscy bez wyjątku twierdzą, że ten pociąg idzie do Krakowa... Więc może pani jednak zaryzykuje?...

Gospodyni w sklepie

— Proszę zanowniej pani — zapewnia sprzedawca w sklepie sprzętów gospodarstwa domowego — ten aparat jest świetny, posiadając go, pozbędzie się pani dobrodziejka połowy roboty domowej...

— A to bardzo dobrze, proszę pana, w takim razie proszę o dwa.

Trzęsienie ziemi

O trzeciej nad ranem zdarzyło się w Zakopanem maleńkie trzęsienie ziemi. Nie wszyscy — na szczęście — odczuli tę katastrofę, ale najbardziej dała się ona we znaki niewątpliwie panu Mieciowi, który zamieszkał w pensjonacie wraz z żoną.

Wstrząs był tak wielki, że pan Miecio wypadł z łóżka, a nie wiedząc co się święci, zerwał się szybko na równe nogi i mruknął:

— No, zaraz, zaraz, Kasieńko... Przecie widzisz, że wstaję, przestań już szarpać...

* * *

Z rozmyślań krawca męskiego, pana Ignacego Igiełki w Grajdołku:

— Ciężko na tym świecie, bo ciężko... — A głównie dlatego, że wielka niesprawiedliwość się panoszy... Na ten przykład szewc bez butów może chodzić, ale krawcowi bez spodni nie wolno!

Wytłumaczył

Pan Kajetan zamierza się ożenić. Swat proponuje mu pannę Agnieszkę.

— Oszalał pan? — zrywa się Kajetan. Chce mi pan dać za żonę tę heterę, która tak strasznie zezuje?!

— Ona zezuje?... Wykluczone!... Ona ma tylko lewą źrenicę w prawem oku i odwrotnie!

Pogromca lwów.



— Wyobraźcie sobie, przepędziłem raz parę godzin w klatce, gdzie były lwy, i nic mi się nie stało.

— No... no... to dziwne, a cóż lwy na to?

— A nic.

— Jak to nic?

— Nic, bo ich akurat wtedy w klatce nie było, umieszczono je w innej, bo ta była zepsuta.

Dobry wypoczynek letni

— Czy nie zna pan jakiegoś cichego, spokojnego zakątka, gdzieby się świata nie widziało i nie słyszało?

— Owszem, przyjdź pan do mojego sklepu!

Wyjątek z recenzji teatralnej

— Po przedstawieniu publiczność obrzucała artystów zgniłemi jajami. Ale były również oklaski, a mianowicie wtedy, gdy komuś udało się trafić w artystę.

Na co kto czeka

— Panie Tolku, zagraj pan z nami partyjkę. Czekamy właśnie na trzeciego.

— Nie mogę, bo i ja czekam.

— Na co?

— Czekam na — pierwszego.

Niewinne pytanie

— Czy Bałtyk jest głęboki?

— Owszem dosyć. A dlaczego pan o to pyta, panie Chrupczałka?

— Ee, tak sobie pytam! Bo moja teściowa wczoraj pojechała na Hel...

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8 Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin